

STANISŁAWA PLATÓWNAMARIANNA,
MARIANNA, MARYSIA, MISIA

ROZDZIAŁ I

Dziwadło

No tak, dziwadło to Misia, nie ma co ukrywać, tak ją nazywają koleżanki i tatuś i wszystkie ciocie. Tylko babcia nie. I wujek Tomek. Ale wujek Tomek tylko wzrusza ramionami i puka się w czoło. Kto wie, co myśli o siostrzenicy i czy w ogóle o niej myśli? Mama patrzy z troską na Misie i niepokoi się. Dziwne dziecko — mówi — skąd u niej taka wybujała fantazja, skąd te pomysły, to upodobanie do rozmów z dorosłymi i rozrywek nie spotykanych u dziewczynki w jej wieku? A tata podnosi wzrok znad gazety, przygląda się córce, jakby ją widział pierwszy raz w życiu, i każe pokazać sobie zeszyty. Znajduje w zadaniu domowym trzy błędy ortograficzne i jeden gramatyczny i bardzo się dziwi, że uczennica czwartej klasy nie wie, jak się pisze „kura”. Tata nie krzyczy, ale ma nieprzyjemny głos i patrzy na córkę takim wzrokiem, że Misia wolałaby już iść do kąta albo dostać w skórę. Więc nic dziwnego, że potem otwiera zeszyt, przygląda się

5

złym okiem nieszczęsnej „kurze” napisanej przez „ó” i nagle wywała język na całą długość.

— Jesteś wstrętne, obrzydliwe, nie cierpię cię — mruczy — zawsze wleziesz tam, gdzie cię nikt nie prosi! Jakby biedne, niczemu nie winne „ó” było żywą istotą, nieznośną i paskudną, której na znak niechęci i lekceważenia pokazuje się język.

Dziwadło! Ależ to po prostu śmieszne! Misia wcale nie jest dziwna, ot dziewczynka, jakich

wiele. Dziesięć lat i trzy miesiące, nos zadarty, oczy brązowe, włosy jasne, krótkie, nogi chude, długie i zawsze podrapane. Czasem brudne.

Lubi swoją panią, lody bakaliowe, psy, koty i opowiadania babuni. Nie znosi chłopców, zwłaszcza starszych, marchewki, mleka z kożuchem i wycierania naczyń.

Bo mama za każdym razem powtarza: „uważaj, nie rozbij” i Misia naprawdę się stara, ale tego uważania jest strasznie dużo, trzeba pamiętać o rękach, o ścierce, o szklance i zawsze o czymś się zapomni, a potem jest w domu o jedną filiżankę albo o jeden talerz mniej. Mama gniewa się i mówi:

— Byłam młodsza od ciebie, kiedy babcię wywieźli na roboty, i musiałam robić mnóstwo rzeczy w gospodarstwie, palić pod kuchnią, nosić wodę, gotować...

Misia zwykle puszcza mimo uszu przechwałki mamy na temat pracy (bo nie bardzo w nie wierzy), natomiast zawsze interesuje się sprawą babci. Teraz już wie, co oznaczają słowa „wywieźć na roboty”, ale dawniej wyobrażała sobie babcię wieszoną taczkami do szkoły na roboty ręczne. I zastanawiała się, dlaczego babcia, która tak ładnie szyje, haftuje i robi na drutach, nie chciała iść sama.

— Niechbym to ja tak spróbowała!

Gdy Misia spytała ją o te taczki, babcia roześmiała się:

— Głuptas!

7

A potem opowiedziała, jak było naprawdę. Naprawdę to babcię zabrali Niemcy z targu w miasteczku, gdzie sprzedawała ser i jaja, wsadzili do wagonu i powieźli daleko do Bawarii. Wcale nie pytali, czy chce, czy może, nie obchodziło ich, że zostawiła w domu dzieci i chorego męża, potrzebowali ludzi do pracy i na tym koniec.

— I tak nie najgorzej trafiłam — opowiadała babcia — zawieźli mnie na wieś, pracowałam w polu, a to przecież umiałam robić. Gorzej z tymi, co się dostali do

miast, do fabryk, przymierali głodem i ginęli od bomb, a u nas było spokojnie, tylko ????????, wściekłe babsko, życie nam zatruwała, bo jej syn w trzydziestym dziewiątym w Polsce zginął i przez to nas wszystkich Polaków nienawidziła. „Po coś go tam posłała, cholero?” — chciałam jej powiedzieć, ale nie znałam niemieckiego.

A może to przez babcię Misia jest „dziwad-łem”? Bo przecież tata kiedyś powiedział do mamy tym swoim nieprzyjemnym głosem, którego ' używa, kiedy jest zły:

— ...wszystkiemu winna twoja matka, nabija dziecku głowę bajdami, a głuptas wierzy w te

bsdury! Powinnaś jej nareszcie wytłumaczyć...—

w tym momencie mama zamknęła drzwi od pokoju i Misia nie dowiedziała się, co i komu tata kazał wytłumaczyć.

Powiedział „bajdy” ... Ale przecież to wcale nie są żadne bajdy! Babcia opowiada Misi różne cie-

8

kawę historii, znacznie ciekawsze od drukowanych w „Płomyczku”. I właśnie prawdziwe! O tym, jak się dawniej żyło, jadło, ubierało... Z babcią nigdy nie jest nudno ani zwyczajnie, babcia jest wesoła, miła, zabawna... A tata nigdy nie ma czasu, bo albo jest w pracy, albo ma godziny nadliczbowe, a już jak wróci do domu, to

śpi albo czyta gazetę, albo ogląda telewizję. Misia czasami pyta tatę o różne rzeczy, na

przykład, co znaczy rotacja, filatelistyka, agresor, słyszy te słowa w radiu albo w telewizji i nic nie rozumie.

Tata przeważnie mówi: „Nie przeszkadzaj, idź, spytaj mamę” albo tak wytłumaczy, że Misia dalej nic nie wie.

Tak właśnie było z tym bulgotaniem w wodociągowych rurach. Misia chciała koniecznie wiedzieć, co tak stęka, jęczy, gdacze. Tata zaczął mówić o zaworach, uszczelkach, ciśnieniu, o samych nudnych i niezrozumiałych rzeczach i Misia dalej nie wiedziała, dlaczego w kuchni albo w łazience rozlegają się takie dziwne odgłosy.

A potem przypomniała sobie różne opowiadania babci i już sama ułożyła resztę. To było bardzo przyjemne zajęcie, wymyślać taką bajkę-nie-bajkę i móc każdemu wytłumaczyć, co bulgoce w rurach.

Okazja nadarzyła się bardzo prędko. Właśnie wszyscy siedzieli w kuchni i jedli kolację, gdy odezwały się tajemnicze stękania i jęki.

9

Wtedy Misia zerwała się od stołu, podbiegła do kranu, odkręciła kurek i puściła strumień wody.

— Uciekaj, uciekaj, pohasaj sobie, przecież ej nudno siedzieć w murach — powiedziała.

I po chwili bulgotanie umilkło.

Mamie ze zdziwienia zaokrągliły się oczy.

— Co ty wyprawiasz, Misiu?

— Ja nic nie wyprawiam — odparła z wielką pewnością siebie dziewczynka — to one, utopce, wodniczki i żaboduszki chcą wyjść na wolność i dlatego hałasują. Ja im tylko pomagam.

— Co ty pleciesz! — zirytował się ojciec. — Kto ci naopowiadał tych bzdur? Nie

ma żadnych utopców, to są głupie bajdy!

— Nieprawda! — zaperzyła się Misia — dawniej były i utopce, i wodniczki, i żaboduszki, ludzie je widywali, bali się ich. I teraz są, tylko że... że... — nie wiedziała, co dalej powiedzieć i rozplakała się.

Mama przyciągnęła córkę do siebie, pogładziła po włosach, ucałowała.

— No, więc opowiedz, co sobie wymyśliłaś. Wytrzymaj nos, przestań płakać i mów. Misia chlipnęła jeszcze parę razy, oddała mamie chusteczkę, westchnęła ciężko i zaczęła.

— Więc to było dawno, bardzo dawno temu, kiedy ludzie jeszcze nie wymyślili wodociągów i nosili wodę ze studni wiadrami, jak babcia, kiedy mieszkała na wsi i była młoda. W rzekach,

10

w stawach i jeziorach żyły różne dziwne stwory, niektóre podobne do ludzi, a niektóre nie. Utopce to były wstrętne, złośliwe pokraki, miały zielone, zmierzwione włosy zrobione z wodorostów, długie, sine ręce i rybnie oczy. Kiedy dziewczęta zagłądały do studni albo chłopcy kąpali się w głębokiej wodzie, albo krowy podeszły w pobliże bagien, utopce chichotały i bulgotały z radości, bo lubiły wciągnąć na głębinię człowieka albo zwierzę, chwycić je w swoje śliskie, zimne ręce i nie wypuścić już nigdy.

Misia urwała i wstrząsnęła się. Przyszło jej na myśl, że chodzi często na basen i uczy się pływać. Czy w basenie może żyć utopiec? Co będzie, jeśli kiedyś poczuje na szyi jego śliskie, zimne dotknięcie? Nie, to niemożliwe, nikt nie wytrzymałby długo w basenie, woda jest tak mocno chlorowana, Misie już po kwadransie zaczynają piec oczy...

— Nie mogę słuchać tych nonsensów! — powiedział tata, zabrał nie dopitą herbatę i wyszedł z kuchni.

— ...w źródłach żyły piękne wodniczki — ciągnęła dalej Marysia — one były dobre, nie robiły nikomu krzywdy, czasem tylko, gdy ktoś chciał się napić wody ze źródła, ukazywały się zniecka, a człowiek, który zobaczył wodniczkę, nie mógł spać ani jeść, nic nie mówił, tylko myślał i koniecznie chciał ją spotkać jeszcze raz. Ale one nigdy nie pokazywały się po raz drugi. A w stu-

li dniach, w polnych rowach, w płytkich stawkach można było spotkać śmieszne, małe duszki zupełnie podobne do żab. Ja sama nieraz słyszałam, jak płaczą, pamiętasz, byliśmy u cioci Józki i ty mówiłaś, że to żaby kumkają. One nie kumkają, one się skarżą, bo nie lubią siedzieć na dnie ciemnych studzien i wykopów, chciałyby wyjść, popatrzeć na słońce. Żaboduszki też nie robią nikomu krzywdy, ale nie trzeba pić wody, w której mieszkają, bo można się rozchorować, od takiej wody boli brzuch, ma się nudności i wymioty.

Mama zerknęła na zegarek i powiedziała do

Misi:

— Mów dalej, kochanie, ja będę słuchać i równocześnie pozmywam po kolacji.

Zrobiło się późno.

Misia w pierwszej chwili chciała się obrazić, mama szczekała naczyniami i trzeba było mówić głośniej, bo woda w zlewozmywaku szumiała, ale potem przyszło jej na myśl, że ten szum i chlupot to jakby głosy utopców, wodniczek i żaboduszków zadowolonych z jej opowiadania.

— One się cieszą, że nareszcie ktoś wie, jak to z nimi jest naprawdę — pomyślała i mówiła dalej.

— Żaboduszki, wodniczki i utopce miały swojego króla, nazywał się Wodnik i opiekował się żabami, rybami, rakami, szuwarami i nenufarami. Był bardzo bogaty, do niego należały wszystkie rzeki, stawy i jeziora, złoty piasek i biały żwir i w ogóle wszystko, co można znaleźć w wodzie.

12

Wodnik nie robił ludziom krzywdy, lubił ich nawet, pozwalał korzystać ze swoich bogactw. Nie gniewał się na chłopców łowiących raki pod przybrzeżnymi kamieniami, na rybaków zarzucających wędki i sieci, nawet na ludzi, którzy wybierali piasek i żwir z dna rzek. Czasem tylko wpadał w gniew, najczęściej przez te wstrętne utopce, i wtedy szalał, bo musiał się wyładować i wyzłościć. Całkiem jak nasz tata... — Misia urwała i zamyśliła się.

13

— Co ty pleciesz, Misiu?! — w głosie mamy można było wyczuć rozbawienie i odrobinę gniewu.

— Wcale nie plotę, sama mówiłaś, że jak tatuś ma kłopoty w pracy, musi wyzłościć się w domu. I że jak się wygada i wykrzyczy, to mu szybciej złość minie...

Mama jakoś podejrzanie szybko obróciła się plecami do Misi, ale nie dość szybko i dziewczynka zauważyła, że mama się śmieje.

— No i co robił wodnik, gdy utopce wyprowadzały go z równowagi? — spytała mama już poważnym głosem, ustawiając wytarte szklanki w kredensie.

— Ach, różne okropne rzeczy! — ożywiła się Misia. — Ciskał się i rzucał tak, że rzeki zalewały pola i łąki, woda wrywała drzewa z korzeniami, przewracała płoty, a nawet domy, zrywała kładki i mosty. Gdy już się wyładował, wracał do swego podwodnego królestwa i znów był cichy i łagodny. A ludzie płakali i narzekali, naprawiali szkody, obliczali straty i mówili, że trzeba koniecznie coś wymyślić, żeby na przyszły rok Wodnik nie mógł się złościć bezkarnie i żeby nie było powodzi.

Wodnik, słysząc to, śmiał się w kułak, bo nie wierzył, by ktokolwiek mógł go zwyciężyć, pękał po prostu ze śmiechu, a wtedy na powierzchni wody powstawały wiry i ludzie nie mogli się kąpać w tych miejscach.

14

Mama wypluła zmywak, rozwiesiła go, by wysechł, i powiedziała do Misi:

— Na dzisiaj dość, resztę opowiesz mi innym razem, zaraz będzie „dobranocka” i musisz iść spać.

— Nie chcę oglądać „dobranocki” — zaperzyła się Misia — muszę ci opowiedzieć wszystko do końca, teraz dopiero zacznie się najważniejsze!

— Trudno — westchnęła z rezygnacją mama — skoro musisz...

Misia zaczęła mówić szybko, coraz szybciej, jakby w obawie, że nie zdąży, że cierpliwość mamy skończy się prędzej niż historia Wodnika.

— Jednak przyszła kryzys na Matyska i Wodnikowi zaczęło brakować miejsca.

Ludzie wymyślili tamy i zapory, obmurowali brzegi rzek, budowali wodociągi, osuszali bagna i mokre łąki. Utopce, wodniczki i żaboduszki poczuły, że robi się im ciasno, coraz ciasniej, że mają mniej wody, bagnisk i trzęsawisk i rozumiały, że są bezradne, że nawet sam Wodnik, ich król, nic na to nie może poradzić.

Zbuntowały się, przestały go słuchać, rozbiegły się każde w swoją stronę. Można je czasem spotkać w rowach na podmokłych łąkach, w leśnych strumykach, w wiejskich studniach albo w płytkich stawkach, po których pływają kaczki i gęsi.

Niektóre powędrowały na północ, tam gdzie jest wiele jezior. Inne pewno, te

najbardziej leniwe, z prądem wody dostały się do miast i siedzą teraz
znudzone i nieszczęśliwe

15

w rurach wodociągów i zlewozmywaków i łazienkowych ściekach, wszędzie tam, gdzie jest mokro. Żyją sobie całkiem spokojnie, czasem tylko śnią, że znów są na dnie rzek, stawów i ba-gnisk, a potem budzą się i gniewają się bardzo, że to nieprawda. Wtedy bulgocą i szumią, bo chcą wydostać się z tej ciasnoty na szeroki świat. Widziałaś sama, wystarczy otworzyć kran, spuścić trochę wody, by utopiec, wodniczka lub żabodu-szek uspokoili się i poszli sobie dalej, do innej kuchni, do innej łazienki. I jest spokój.

— A Wodnik? Co się stało z Wodnikiem? — spytała mama.

Misia zrobiła bardzo tajemniczą minę.

— Oo, Wodnik nie poddał się wcale — powiedziała — nie powędrował jak inni na północ, by tam wywracać kajaki i żaglówki na jeziorach, rwać sieci rybakom i zatapiać przybrzeżne łąki. To nie jest zajęcie dla króla, nawet dla króla bez państwa i poddanych. Takie głupstwa Wodnik zostawił utopcom, a sam...

Misia urwała. No i co dalej? Nie pomyślała dotąd, co się stało z Wodnikiem, nie obmyślała, co robi i gdzie się podziewa. I wtedy zaszło coś bardzo dziwnego.

Mama uśmiechnęła się i spytała:

— Nie wiesz, co się stało z Wodnikiem? No to ja ci powiem. Wodnik powędrował na południe, tam gdzie rzeki i strumienie są jeszcze groźne i nie ujarzmione, gdzie woda z sykiem przewala się po głazach, gdzie potężna fala z łatwością roz-

16

trąca kamieniste brzegi. Wiosną, gdy z gór spływają roztopione śniegi, i z nieba wałą strugi deszczu, ludzie jak dawniej patrzą z trwogą na rozszalały żywioł, żegnając się ukradkiem, a Wodnik znów jest panem kipiącej topieli, wysyła falę za falą, bure zwały wody znoszą mosty, zagarniają drzewa i domy, czasem nawet uda się im ugryźć kawał twardej, asfaltowej szosy lub rozerwać stalowe szyny na torze kolejowym. Masz rację, Wodnik nie poddał się jeszcze i wcale nie wiadomo, czy podda się kiedykolwiek... Misia z podziwem spojrzała na mamę.

— Skąd wiesz o Wodniku? — spytała szeptem. — Widziałaś go?

Mama roześmiała się, pocałowała córeczkę i znów się roześmiała.

— Głuptasku, czytałam w gazetach.

— O Wodniku?!

— Skądże. O powodzi. W zeszłym roku wylały podgórskie rzeki, Dunajec, Poprad, Raba, z wieloma miejscowościami była przerwana komunikacja, powódź uszkodziła szosy, mosty, tory kolejowe. Woda to straszny żywioł, chyba najtrudniejszy do opanowania, ale człowiek i z tym sobie kiedyś poradzi, a twój Wodnik będzie musiał uciekać, gdzie pieprz rośnie. I nareszcie będzie spokój.

Misia poczerwieniała i tupnęła nogą.

— Nie! — krzyknęła — Wodnik się nie podda! Ja wiemTz^Rewnością, że nie. Są przecież ludzie,

?? : V\ '

2 -/????????; Marysi», Misia i 7

którzy mu pomagają. I nie tylko ludzie, jest nawet taki urząd, tylko zapomniałam, jak się nazywa...

— Urząd? — brwi mamy pojechały wysoko do

góry — wiesz co, dziecko, ty już zaczynasz mówić od rzeczy. Jazda myć się, a potem spać!

— Nie mówię od rzeczy — broniła się Misia — sama słyszałam w telewizji. Jakiś

pan mówił, że na świecie jest coraz mniej czystej wody, że nie wolno zanieczyszczać i zatruwać rzek, że trzeba ratować ryby i raki i... i w ogóle!

— Słyszałaś audycję o ochronie środowiska — powiedziała spokojnie mama — o ochronie przyrody.

— No właśnie! — ucieszyła się Misia — a skąd wiesz, że Wodnik to nie przyroda?

— No już dobrze, moje ty dziwadelko kochane — uśmiechnęła się mama — niech ci będzie. A teraz biegiem do łazienki i zaraz do łóżka, bo napuszczę na ciebie wszystkie utopce i zabodusz-ki! Czy wiesz, która godzina?

ROZDZIAŁ II

Nudy na pudy, czyli historia pewnej niedzieli

Niedziela. Jeden jedyny dzień w tygodniu, kiedy rano wszyscy są w domu. Po południu bywa różnie, czasem tata wychodzi na mecz piłki nożnej albo mama wybiera się do kina. Ale rano są wszyscy, nikt się nie śpieszy, nikt nikogo nie pogania, nikt nie stoi pod drzwiami łazienki, krzycząc: „prędzej, spóźnię się do biura, do szkoły”.

Jest naprawdę fajnie. Gra radio, mama w ładnym, kolorowym szlafroczku kręci się po kuchni i nuci pod nosem, tata ogromny i wspaniały w pasiastej piżamie szeleści gazetami i wcale się nie kwapi do opuszczenia tapczanu.

Misia... Misia nic nie robi, spaceruje po mieszkaniu, zagaduje mamę, przygląda się tacie, przebiera lalkę Balbinę w odświeżoną sukienkę, czesze misiaczka starą szczotką do zębów, która awansowała do roli wytwornego przyboru toaletowego. Misia bardzo lubi niedzielę. Nie dlatego, że nie musi iść do szkoły ani odrabiać lekcji, wcale nie.

2*

19

Misia nie jest leniuchem, uczy się chętnie, a że czasem zdarzają się jej błędy ortograficzne w ćwiczeniach albo pomyłki w zadaniach rachunkowych, to tylko przez roztrzepanie. Tak powiedziała pani wychowawczyni i dodała, że Misia nie umie się skupić, to znaczy myśli o wielu rzeczach równocześnie zamiast o tej, którą właśnie robi.

Niedziela jest fajna dlatego, że wszyscy są jacyś weselsi, spokojniejsi, pogodni i zadowoleni. Tata nie mówi o kłopotach w biurze, nie narzeka na swoje pracownice z księgowości, które podobno nic nie robią tylko telefonują, plotkują i piją herbatę.

Mama nie poprawia zeszytów i nie wypełnia dzienników klasowych, nie zażywa proszków od bólu głowy i nie twierdzi, że jej klasa jest najgorszą, najtrudniejszą klasą w szkole. Przeciwnie, opowiada różne śmieszne i dowcipne zdarzenia ze szkolnego życia i Misia wie, że te wszystkie Zosie, Halinki, Grażyny i ci nieznośni: Wojtek, Tadek, Marek i Krzysztof, którzy mamie zatruwają życie przez cały tydzień, w gruncie rzeczy wcale nie są tacy źli i mama ich lubi, nawet bardzo lubi.

W niedzielę je się śniadanie w pokoju przy dużym stole nakrytym obrusem, a nie, jak co dzień, na chybcika, w kuchni. I rozmawia się przy śniadaniu. Przy obiedzie też.

W niedzielę przed obiadem chodzi się na długi

20

spacer nad Odrę, jeśli jest sucho, do ZOO, do parku Szczytnickiego, do ogrodu

botanicznego lub, co jest już niesłychaną atrakcją, płynie się statkiem na Wyspę Opatowicką. I wszędzie jest przyjemnie i wesoło, pełno dzieci, dorosłych i psów. Czasem po południu przychodzą goście i to już jest mniej przyjemne, chyba że przyprowadzają ze sobą dzieci. Ciocia Hela przychodzi z Ewunią, pani Podgórska z bliźniaczkami, państwo Mucho-wie z Piotrusiem.

No, a najważniejsze, najprzyjemniejsze i najbardziej ulubione jest to, że w niedzielę przyjeżdża babcia! Może nie w każdą niedzielę, ale w każdym razie bardzo często. Czasem sama, a czasem z wujkiem Tomkiem. Przyjeżdża na obiad i zostaje aż do wieczora. Po kolacji wszyscy odprowadzają babcię na plac Grunwaldzki i wsadzają do autobusu. Misia bardzo lubi te wieczorne odprowadzanki, choć jest jej trochę smutno, że babcia odjeżdża i nie zobaczą się przez cały długi tydzień, a może nawet dwa.

Bo babcia mieszka bardzo daleko, na przedmieściu, ma mały domek z ogrodem, kury, psa i dwa koty. Jest bardzo zapracowana i w tygodniu nie ma czasu na dłuższe wizyty. Owszem, zdarza się, że wpadnie na pół godzinki, jeśli po załatwieniu sprawunków musi dłużej czekać na autobus, ale takie pół godzinki nie liczy się wcale. Babcia jest zdenerwowana, więcej popatruje

21

na zegarek niż na Misie, wciąż powtarza: „żeby mi tylko nie uciekł, bo następny aż za godzinę” i nie można nic porządnie opowiedzieć, a tym bardziej skłonić babcię, by ona coś opowiedziała. Babcia mieszka z wujkiem Tomkiem, najmłodszym bratem mamy, i ma zawsze pełne usta tego Tomka, przez niego się śpieszy, co Misie niesłychanie drażni.

— Tomek dziś zamówił sobie na kolację pierogi z jagodami, wiecie, ile to roboty przy pierogach, Tomek prosił, żeby mu odprasować ciemny garnitur na wieczór, muszę jeszcze odebrać buty Tomka od szewca...

I tak w kółko. Misia jest zła i trochę zazdrosna o wujka Tomka. Bo on może być z babcią całe popołudnie i wieczór, a nie jest i wciąż gdzieś lata. i tylko babcia troszczy się o niego, jakby był małym chłopcem a nie dorosłym, właściwie już zupełnie starym mężczyzną. Babcia wciąż powtarza:

— Ten Tomek to moja największa zgryzota, najwyższy czas, żeby się ożenił i ustatkował!

O ożenku wujka Tomka mówi się od zawsze, odkąd tylko Misia sięga pamięcią. Babcia przychodzi na obiad i z wielkim zadowoleniem opowiada, że Tomasz się zaręczył, że nareszcie znalazł miłą, ładną, odpowiednią dziewczynę i że teraz wszystko ułoży się pomyślnie. Zadowolenie babci trwa jakiś czas, po czym okazuje się, że dziewczyna wcale nie jest taka miła, ładna i od-

22

powiednia, jak się to na początku wydawało, że wujek Tomek ma różne wątpliwości, waha się i zastanawia i wreszcie trach! narzeczeństwo zerwane, babcia rozpacza, wujek wygląda, jakby cudem uratowany z katastrofy, mama udziela obojgu dobrych rad, a tata pęka ze śmiechu.

Po pewnym czasie wszystko się powtarza, znowu jest miła, ładna, odpowiednia dziewczyna, która po kilku miesiącach okazuje się... i tak dalej i dalej, historia się powtarza od dobrych paru lat. A przecież wujek za półtora roku skończy trzydziestkę i tata powiedział, że jeśli Tomek teraz się nie ożeni, to już pewno nigdy i że im później, tym trudniej się zdecydować. Dodał nawet:

— Raz kozie śmierć, Tomek, zamknij oczy i skacz na głęboką wodę. Niejednemu się zdawało, że utonie, a jednak wypłynął.

Mama i babcia bardzo się rozgniewały i powiedziały, że tata plecie bzdury i że

ktoś mógłby pomyśleć, że właśnie jemu tak się źle powodzi w małżeństwie! I że małżeństwo to poważna sprawa i że nie można się Tomkowi dziwić.

Więc jeśli takie rozmowy, takie wydarzenia prawie zawsze wypadają w niedzielę, to chyba jasne, że Misia przepada za niedzielami! Niestety, czasem zdarzają się niedziele smutne, nudne, nijakie. Od rana pada deszcz, w telewizji nie ma nic ciekawego, mama nie zdążyła w ciągu tygodnia zrobić przepierki albo prasowania, tata ma zaległości w biurze i zawala cały stół w jadalni

23

papierami, nie przychodzą żadni goście a jesh przychodzą, to od razu zasiadają do brydża, a co ^gorsze - babcia nie ma czasu albo zle się czu-ie i nie może przyjechać.

I wtedy niedziela robi się najnudniejszym dniem tygodnia. Właśnie niedawno, *koncern kwietnia zdarzyła się taka niedziela ? ??? od rana miała ochotę płakać ze złości.

Najpierw babcia dała znać przez wujka Tomka, że jest chora, że ma chyba grypę i zęby mama przyjechała, ale bez Misi, bo jeszcze się dziecko zarazi. Tata obiecał pójść z Misia do tana na poranek, ale zapomniał, że umówił się z panem Tymbarskim, sąsiadem z drugiego piętra, na partyjkę szachów. Nie to nie, jeśli jakiś pan Tym-barski jest dla taty ważniejszy od rodzonej córki, to trudno!

W dodatku tata odgrzewając przygotowany przez mamę obiad (mama oczywiście pojechała wczesnym przedpołudniem do babci) spalił kotlety na węgiel i był wściekły.

Jakby nie dość było nieszczęść, po obiedzie przyszedł wujek Tomek z dwoma kolegami i zajęli pokój Misi. Mieli podobno rysować jatas projekt i wujek zapowiedział, żeby mu nikt nie przeszkadzał. Nikt, to oczywiście Misia, bo tata i tak by nie wszedł. Wujek dość często korzystał z pokoju siostrzenicy, mieszkał bardzo daleko i nikomu nie chciało się jeździć tam, gdzie diabeł mo-wi dobranoc.

24

No i Misia przez całe pół dnia nie miała wstępu do pokoju, do swego własnego pokoju!

W dodatku po południu zaczął padać deszcz i bardzo pochłódniało, trzeba więc było siedzieć w domu.

Tata przykryty pledem po sam nos spał na tapczanie, z pokoju Misi dolatywały jakieś końskie rżenia i śmiechy, widać towarzystwo pracujące nad „projektem” bawiło się doskonale, a Misia wędrowała po pustym, nieprzytulnym mieszkaniu i nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Co gorsza nie zdążyła zabrać z pokoju ani jednej książki, ani jednej lalki, nie miała co czytać ani czym się bawić, a o tym, żeby zapukać do drzwi i poprosić wujka, nie mogło być oczywiście mowy. Na to nie pozwalała dziewczynce ambicja.

Zła, rozżalona i znudzona (tata wciąż spał pochrapując lekko przez nos) sięgnęła wreszcie po pierwszą z brzegu książkę, leżącą na półce mamy. Były to jakieś opowieści historyczne, szalenie nudne, ale z obrazkami. W dodatku z kolorowymi obrazkami. Misia najpierw obojętnie, potem z coraz większym zainteresowaniem oglądała portrety pań i panów w dziwnych, ale bardzo pięknych strojach, wspaniałe pałace i dwory, karety zaprzężone w cztery, a nawet osiem koni, salony i sale balowe, wreszcie natrafiła na obrazek, który ja. po prostu oczarował.

Mała dziewczynka, mniej więcej w wieku Misi, ubrana w różową, długą i bardzo szeroką su-

25

kienkę, spod której, śmieszne doprawdy! wystawały marszczone, koronkowe spodenki albo może raczej majteczki, w różowym kapelusiku i w białych rękawiczkach, stała obok malutkiego powo-ziku. W jednej ręczce trzymała różę, a w drugiej bacik. Do powoziku zaprzęgnięto białego kucyka, który był śliczny i miał wspaniałą, haftowaną złotem uprząż.

— No, ta to się z pewnością nigdy nie nudziła! — pomyślała Misia z zazdrością i przyjrzała się lepiej dziewczynce. — Nie wygląda na nieszczęśliwą i znudzoną, uśmiecha się, oczka ma figlarne, pokazuje wszystkie ząbki. Ach, jak jej musiało być dobrze na świecie! Kiedy tatuś spał; a mamy nie było w domu, zaprzęgała kucyka i jechała na spacer. Wszyscy się jej kłaniali, uśmiechali się, a ona kiwała im różą.

Misia z irytacją zamknęła książkę i podeszła do okna.

— Kucyk, powozik — pomyślała — a ja co? Mam tylko mały rower i nikt mi się nie kłania, nikt się nie uśmiecha, kiedy jeżdżę po podwórzu. Ten wstrętny Jurek z trzeciego piętra robi miny i wrzeszczy „Misia — Kisia, pokazuje majtki!”, a pan Szymczak, dozorca, tylko czeka, czy nie wjadę na parking, i zaraz krzyczy, żebym zamykała, bo to nie miejsce na rower. Tak jakby nie wiedział, że po równym, wybetonowanym parkingu najprzyjemniej jeździć!

Misia raz jeszcze otwiera książkę i szuka obraz-

26

ka przedstawiającego dziewczynkę w różowej sukience i białego kucyka.

— Wiesz — mówi półgłosem — chciałabym żyć sto, dwieście lat temu. Miałabym, tak jak ty, powozik i kucyka, jeździłabym na spacer i nie nudziłabym się nigdy. A wujek Tomek musiałby codziennie czyścić i szczotkować mojego konika i nie odważyłby się zamykać przede mną drzwi na klucz! Albo nie, wujek też miałby kucyka albo pięknego konia i jeździlibyśmy razem na spacer do parku. A wszyscy lokatorzy z naszej kamienicy przyglądaliby się nam i zazdrościli.

Tata ziewnął, przeciągnął się aż zatrzeszczało, odrzucił pled i spytał:

— Co ty tam mruyczysz pod nosem? Gdzie Tomek? Mama jeszcze nie wróciła?

— Mama nie wróciła, Tomek z kolegami wciąż rysują i nie pozwalają mi być w pokoju, a ja nie mruczę, tylko wyobrażam sobie.

— Cóż takiego sobie wyobrażasz? — spytał tata i znów ziewnął.

— Bo ja bym chciała żyć sto albo nawet dwieście lat temu — wyznała Misia. — Miałabym własny powozik i białego kucyka i taaką szeroką sukienkę — rozstawiła ręce, by tata lepiej wyobraził sobie wspaniałość toalety, a potem podsunęła mu obrazek pod nos.

Tata zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i ułożywszy w specjalny sposób usta, zaczął wypuszczać misterne kółka dymu. Misia na chwilę

27

zapomniała o kucyku i patrzyła z zainteresowaniem, jak równiutkie kółeczka płyną w powietrzu, potem wydłużają się, wyginają i wreszcie nikną wysoko pod sufitem. Ale ten tata spryciarz! Jak on to robi?

— Gdybyś żyła dwieście lat temu — powiedział nagle tata — wiesz, czym byś była? Pańszczyźnianą chłopką. Musiałabyś pracować w polu od wschodu do zachodu, bałabyś się ekonomia i karbowego, mieszkałabyś w kurnej chałupie, nie umiałabyś czytać ani pisać, a zamiast taaakiej sukni nosiłabyś zgrzebną spódnicę i koszulę utkaną przez mamę na krosnach. I chodziłabyś boso.

Tak.

— Dlaczego? — oburzyła się Misia.

— Dlatego, że wtedy chłopci tak żyli. Babcia pochodzi ze wsi, prawda? Więc i babcia, i mama, i ty musiałybyście mieszkać na wsi i nie wolno by wam było wyjechać do miasta, a nawet do innej wsi, bo wsie były własnością panów albo księży albo innych bogatych ludzi, a wieś to nie tylko las i łąka, i ziemia, to także wieśniacy, którzy ją uprawiają. I ci wieśniacy byli też własnością panów i musieli pracować i robić to, co się panom podobało.

Tata ożywił się i zapalił drugiego papierosa.

— Czy wiesz — spytał — że w tamtych czasach nie mógłbym się ożenić z mamusią?

— Czemu?

— Dlatego, że mój ojciec i dziadek i pradzia-

28

dek byli kupcami i mieszkali w mieście. Tak, mój tata miał przed wojną sklep z obuwem, bardzo porządny sklep. Odziedziczył go po swoim ojcu, a on z kolei po swoim. Więc w tamtych czasach żaden kupiec nie ożeniłby się z wieśniaczką, nie pozwolono by mu, takie były zwyczaje i wszyscy ich przestrzegali.

Misia zamyśliła się głęboko. Więc to tak? Ani kucyka, ani powozu, ani róży, tylko ekonom i praca w polu, i chodzenie boso? To już lepiej żyć sobie teraz, nudzić się w niedzielę, mieć tylko rower i wrotki i tego nieznośnego wujka, który wypędza siostrzenicę z jej własnego pokoju.

Tata poszedł do kuchni, zaparzył sobie kawy, wrócił i zaczął powoli sączyć pachnący płyn, a Misia wciąż rozmyślała nad tym, co powiedział.

...Musiałabym pracować w polu. Takie małe dziecko? Przecież ja nie umiem pracować w polu, czasem tylko pomagam babci plewić grządki, ale to nudne i plecy bolą... nie umiałabym czytać ani pisać... dlaczego? Przecież chodziłabym do szkoły... a może wtedy nie było szkół? Prawda, babcia opowiadała, że skończyła szkołę dwuklasową i że umiała czytać i pisać, ale potem zapomniała, bo to nie była porządna szkoła i babcia nie miała ani książek, ani gazet i nie mogła się wprawiać. Ciekawam, czy gdyby nagle zniknęły wszystkie książki i gazety, to ja też po paru latach zapomniiałabym, jak wyglądają litery? Bab-

29

cia, kiedy poszła na służbę do miasta, zabrała się po raz drugi do nauki i nauczyła się czytać. Na książce do nabożeństwa.

...Musiałabym chodzić boso i nosić sukienkę utkaną przez mamę... boso... lubię chodzić boso po trawie, zwłaszcza rano, po rosie, trawa jest miękka i tak przyjemnie łaskocze w pięty. Albo po piasku na plaży. Ale po kamieniach to już nie. Czy wtedy ludzie nie znali butów, czy nie było szewców?

Misia otwiera książkę, wyszukuje obrazki i z uwagą ogląda nogi pań i panów. Ej, ten tata coś zmyśla! Są buty, i to jakie! Jeden pan ma na nogach czerwone, wysokie cholewki, inny płytke, czarne pantofle z kokardami na nosku, podobne

30

do maminych lakierków, paniom spod długich sukien wystają białe, niebieskie albo różowe pantofelki na wysokim obcasie. A dziewczynka z kucykiem? Czy jest bosa? Oczywiście, że nie! Ma różowe, prześliczne buciki z błyszczącymi klamerkami na przodzie.

— Tatku — Misia udaje, że nie widzi gazety w rękach taty — tatku, dlaczego powiedziałeś, że musiałabym chodzić boso? Przecież ci wszyscy panowie i panie namalowani w książce mają bardzo ładne buty.

Tata odłożył gazetę.

— Ależ ty nudzisz! Butów się uczepiła! Chodziłabyś boso, bo nie miałybyś pieniędzy na buciki. Ci wszyscy ludzie w książce to wielcy panowie, szlachta, książęta, ich żony i dzieci. Ich było stać na wszystko właśnie dlatego, że tacy jak ty na nich pracowali. A zresztą to są poważne sprawy, za trudne dla ciebie, będziesz się uczyć historii i literatury, to zrozumiesz. Tyle ci tylko powiem, że świat się zmienia, wciąż się zmienia. Twoja babcia miała dwadzieścia lat, gdy pierwszy raz w życiu wsiadła do pociągu, twoja matka była dorosłą kobietą, gdy poleciała samolotem do Warszawy, a ty może będziesz podróżować rakieta na księżyc albo zamieszkaż w stacji orbitalnej w kosmosie. A teraz daj mi już spokój, chcę dokończyć artykuł w „Polityce”.

Misia wstała i cichutko podeszła do okna. Miała na końcu języka sto, tysiąc pytań, ale skoro

31

tata musi dokończyć artykuł... tata nie lubi, gdy mu się przeszkadza i zawraca głowę.

Za oknem zapada zmierzch, po szybach spływają jedna za drugą kropelki deszczu, mama nie wraca, może babcia jest bardzo chora?

Dlaczego świat się zmienia i mama dopiero przed kilku laty pierwszy raz leciała samolotem, a babcia nie chodziła do zwykłej szkoły, tylko do dwuklasowej?

Dlaczego dziewczynka na obrazku miała kucyka i powozik, a inna dziewczynka musiała chodzić boso i pracować w polu? Dlaczego dawniej tacie nie pozwolono by ożenić się z mamą, bo miał sklep, a ona pracowała na wsi? I kogo musiałby pytać o pozwolenie?

Oczywiście Misia już dużo wie i rozumie, babcia opowiadała jej o swoim życiu na wsi, o służbie w mieście, mama o ciężkim dzieciństwie i młodości podczas wojny i zaraz po wojnie, tata też nieraz wspomina okupację i pierwsze lata po wyzwoleniu, szkołę, studia... Ale to wszystko jest takie dziwne, niezrozumiałe jak obrazki pomieszane razem, przedstawiające każdy co innego i nie dające się ułożyć w sensowną całość.

No dobrze, dawniej ludzie nie znali radia ani telewizji, obywali się bez elektryczności i telefonów, nie latali samolotami, nie jeździli samochodami. To można sobie wyobrazić, pranie w balii, trzepanie dywanów trzepaczką, lampę naftową albo świece, podróże końmi. Misia wie, że gdzieś w małych miasteczkach albo

32

w wioskach ludzie tak żyją. Może nie wszyscy, ale żyją. Ciocia Józia jeszcze nie tak dawno chodziła do miasteczka piechotą albo jechała „okazją”, to znaczy przysiadła się na czyjaś furmankę. Dopiero od dwóch lat wieś ma porządną szosę i przystanek autobusowy. I u cioci nie ma elektroluksu ani lodówki, ani telefonu.

Ale jacy oni byli, ci dawniejsi ludzie? Co sobie myślała taka dziewczynka w powoziku zaprzęgniętym w białego kucyka, gdy spotkała inną dziewczynkę bosą i nie umiejącą czytać ani pisać? O czym rozmawiały? I co ludzie robili bez radia, kina i telewizji? Musieli się okropnie nudzić. A jeśli ktoś zachorował, w jaki sposób wzywano pogotowie, skoro nie było telefonów? A może wtedy i pogotowia nie było?

Nie, tego Misia nie może sobie wyobrazić. Ktoś musi jej to dokładnie opowiedzieć i wytłumaczyć. Kto? Ależ oczywiście babcia! Tylko babcia ma czas i cierpliwość i tak ładnie opowiada. Żeby tylko szybko wyzdrowiała i żeby znów przyszła w niedzielę na obiad. Klucz zgrzyta w zamku, to mama wraca.

— Mamo, mamo, czy babcia zdrowsza? Czy przyjdzie w następną niedzielę? Mamo,

powiedz!

Mama zdejmuje przemoczone obuwie, płaszcz, każe Misi postawić parasolkę w łazience, żeby wyschła, i dopiero wtedy mówi.

— Jestem bardzo zmartwiona. U mamy był lekarz, podejrzewa zapalenie płuc.

3 — Marianna, Marysia, Misia

Misia drętwieje ze strachu, a tata mówi raż nym, donośnym głosem:

— No cóż wielkiego zapalenie płuc. Mam ma mocne serce, dostanie serię antybiotyków i p krzyku. Nie martw się na zapas, Marychno.

Misia przykuca w rogu kanapy i teraz dopier zaczyna bać się naprawdę. Skoro tatuś mówi d mamusi „Marychno”, z pewnością dzieje się cc złego. Bo na co dzień to mówi zwyczajnie „Ma rysiu5” albo nawet „Maryśka”... Więc babcia jes chyba bardzo chora i może nawet umrze...?

ROZDZIAŁ III

Pierwsza podróż z babcią

Nie, babcia nie umarła, a nawet dość szybko wróciła do zdrowia. To musiało być bardzo lekkie zapalenie płuc, bo po kilku dniach gorączka spadła i babcia czuła się daleko lepiej. Tylko mama była trochę zmęczona, prawie co dzień po pracy jeździła do babci i wracała późnym wiecz@rem. Któregoś dnia powiedziała z wielkim zadowoleniem:

— Wiesz, Jurku, poznałam narzeczoną Tomasza. Jeśli tym razem ten głuptas się nie namyśli, nie chcę go znać. Dziewczyna śliczna jak obrazek, miła, spokojna, grzeczna... aż za dobra dla Tomka. A jaka świetna gospodyni! Przygotowała nam sałatkę — palce lizać! Dowiedziała się, że babcia chora, i przyszła pomóc, przyniosła kwiatki i pomarańcze, babcia była wzruszona.

— A co Tomek na to? — spytał tata.

— Ach, nawet mi nie mów o nim! — krzyknęła mama — odprowadzał mnie do autobusu i gdy pochwaliłam tę jego Krysię, bo na imię jej Kry-

35

styna, pokręcił głową i powiedział: „ona jesł za dobra, żeby coś się za tym nie kryło”. Zupełn nie niemożliwy z tą swoją podejrzliwością, z ta niewiarą w ludzi!

— No cóż, dostał porządnie po kulach, kto rai się sparzy, ten na zimne dmucha — odparł tatal

— To było tak dawno, powinien zapomniei o tamtej — pokręciła głową mama — przeciei są na świecie porządne dziewczęta...

Misia z niecierpliwością słuchała tej rozmowy! teraz bardziej obchodziły ją wieści o babci. Naj gle nadstawiła uszu.

— Mama bardzo tęskni za Misia, a nie wiado-j mo kiedy do nas przyjedzie, bardzo jeszcze osła] biona i na razie prawie nie wstaje. W poniedzia]

36

łek jest okręgowa konferencja, Misia będzie miała wolny dzień, więc odwiozę ją do babci w sobotę i niech zostanie u niej trzy dni.

Misia podskoczyła w górę niczym dobrze nadmuchana piłka.

— Mamo, jak świetnie, jak wspaniale! — krzyknęła — ale odwieziesz mnie zaraz po szkole, dobrze? W sobotę mam tylko trzy lekcje...

— Ty masz trzy lekcje, ale ja mam pięć — uśmiechnęła się mama.

— To pojedę sama.

— Wykluczone! — wtrącił się tata — już raz próbowałaś i co z tego wynikło?

Wsiadłaś do zupełnie innego autobusu.

— To było dawno — broniła się Misia — na początku roku i ja po prostu zapomniałam, że do babci jeździ się stopiętnastką...

— Misiu, po co te dyskusje? — przerwała mama swoim specjalnym „szkolnym” tonem — kończę lekcje po pierwszej, o drugiej będziemy u babci. Masz przed sobą pół soboty, całą niedzielę i cały poniedziałek. Jeszcze ci mało? Zdażysz zamęczyć babcię na śmierć swoim gadulstwem i swoimi pomysłami.

Misia westchnęła cichutko i postanowiła nie spierać się z mamą. Trudno, czasem trzeba ustąpić dorosłym dla świętego spokoju. Szkoda, że dziś dopiero wtorek, jeszcze cztery dni do soboty...

Ale cztery dni minęły szybko i oto Misia siedzi

37

w autobusie, piastując na kolanach dużą torbę, w którą mama zapakowała piżamę, pantofle i szczoteczkę do zębów, sweterek i rajstopy na zmianę, wysokie kalosze i pelerynę od deszczu i sto innych rzeczy, które mogą się przydać podczas pobytu u babci. Misia z dużym nakładem sił wepchnęła do torby lalkę Balbinę i najukochańszego misiaczka Klusia, bez których naprawdę trudno się obejść nawet u babci.

Autobus zaczyna podskakiwać na nierównej nawierzchni i Misia już wie, że mijają ostatni przystanek tramwajowy i wyjeżdżają na szosę. Tu zawsze trzęsie, bo ulica jest wybrukowana dużymi, okrągłymi kamieniami. Za mostem znów będzie asfalt. Mama coś mówi do córki, prosi ją, by była grzeczna, nie męczyła babci, ale dziewczynka słucha jednym uchem. Po co to przemówienie? Misia u babci jest zawsze grzeczna, może tylko troszkę za dużo mówi, musi się wygadać za wszystkie czasy, a teraz będzie jeszcze grzeczniejsza, bo wie, że babcia była chora i jeszcze nie ma wiele siły.

— Pamiętaj, Misiu, nie krzycz i nie trzaskaj drzwiami. I nie bierz kota do łóżka, bardzo cię proszę. Zawsze mów babci, dokąd idziesz, a najlepiej baw się w ogrodzie, nie wychodź na szosę. Mam nadzieję, że pogoda się utrzyma i będzie sucho, ale gdyby padało, nie zapomnij o kaloszach.

38

Misia kiwa głową, zgadza się na wszystko, ale myśli o tym, że już minęli spirytusownię, że niedługo autobus podskoczy na przejeździe kolejowym i wjedzie na szosę do Wojnowa.

A mama mówi dalej:

— Pamiętaj czyścić zęby rano i wieczorem, i myj uszy i szyję. I nie objadaj się pestkami tak jak zeszłym razem, bo znowu będę cię musiała leczyć przez trzy dni. Misia spuściła nos na kwintę. Czy mama zawsze musi przypominać to wydarzenie? Rzeczywiście, zjadła za dużo tych pestek i potem chorowała, w dodatku wstydziła się bardzo, bo wyszło na jaw, że pestki wzięła sama, ukradkiem ze spiżarni. Mama się gniewała i babcia, a wujek Tomek jak zwykle śmiał się i dokuczał siostrzenicy.

Ale Misia martwi się tylko przez chwileczkę, dobry humor nie każe na siebie czekać.

— Jeśli będę jadła po troszeczku, z pewnością mi nie zaszkodzą — myśli — zjem tylko tyle, ile mi babcia pozwoli.

Pestki! Czy jest coś smaczniejszego na świecie? Chyba tylko lody!

Babcia hoduje w ogródku dynie, z żółtego miąższu przyrządza marynaty, kompoty i inne smakołyki, a pestki suszy i przechowuje w dużym słoju. Pestki są najlepsze, gdy się je rozsypie na kuchennej blasze i trochę przypiecze. U babci jest gaz, dowożony w butlach, ale używa się go tylko

39

wtedy, gdy na dworze jest ciepło. Zimą i jesienią babcia pali pod kuchnią i

wtedy jest bardzo
przyjemnie.

— Wysiadamy — mówi mama i bierze Misie za rękę.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów i już stoją przed domkiem babci, ślicznym domkiem, otynkowanym na biało, z czerwonym dachem i zielonymi okiennicami, których nikt nigdy nie zamyka. Przez ogrodzenie z siatki widać ogród i kawałek podwórza. Po podwórku spacerują dwie białe kury, a pies Bukiet śpi w swojej budzie, tylko mu czarne ucho wystaje na zewnątrz.

Skrzypi furтка i Bukiet unosi łeb, łypie czujnie okiem, a potem z donośnym szczekaniem wyskakuje z budy. Ale tylko przez chwilę jego głos brzmi groźnie i ostrzegawczo. Misia woła:

— Bukiet, Bukiecik! — i już pies zanosi się radosnym ujadaniem, macha ogonem, usiłuje stanąć na dwóch łapach i dosięgnąć miłych gości. Ale goście nie podchodzą zbyt blisko, Bukiet ma zabłocone łapy, a jego powitania są tak pełne entuzjazmu, że kiedyś nawet mamę przewrócił na ziemię w zapale nieposkromionej radości.

Zresztą przyjdzie czas i na powitanie z Bukietem, teraz jak najprędzej do babci, do kochanej, najukochańskiej babuni!

Ach, jaka jeszcze blada, jaka mizerna, zeszczupiała chyba, oczy ma podkrążone i głos jakby słabszy, mniej dźwięczny. Ale uśmiecha się jak

40

jawniej, całuje mocno wnuczkę, gładzi ją po buzi, P° włosach i wciąż powtarza, jak bardzo się cieszy z jej przyjazdu. Wita się i z mamą, ale zaraz zaczyna burczeć, widząc, że wyjmuje z torby paczki, słoiki i zawiniątka.

— I po co to wszystko? — gniewa się — czy ja tu głodem przymieram? Sąsiadki o mnie pamiętają, a i Tomek co trzeba z miasta przywiezie.

— Już ja znam Tomka — śmieje się mama — przywiezie albo i nie, a najpewniej o najważniejszym zapomni. Zresztą Misia też coś musi jeść — dodaje chytrze.

Babcia milknie i tylko patrzy spod oka na stos paczek.

— Tu mama ma upieczonego kurczaka, w słoiku sałatka, już przyprawiona, tylko bez śmietany, trochę wędliny, kawa już zmielona, zaraz ją przesypię do puszki, a tu bułki z naszej piekarni, co je mama tak chwali. I upiekłam babkę drożdżową, jutro przy niedzieli z pewnością ktoś zajdzie, a wiem, że mama lubi gości poczęstować. Cukier, herbatę jeszcze mama ma? Może coś trzeba przynieść ze sklepu, to zaraz skoczę, zanim nadjedzie autobus.

— Wszystko mam, Marysiu, nic mi nie trzeba — mówi babcia — była tu wczoraj panna Krystyna, takie dobre z niej dziecko, że i do spółdzielni pobiegła i kurze pościerała, naczynia pomyła, chciała nawet przepierkę zrobić, ale nie pozwoliłam.

41

— Dziś też przyjdzie? — pyta mama przez i drzwi, układając w kuchni przywiezione pro-] wianty.

— Nie, dziś idą z Tomkiem na tańce, zaprosił] ją na dansing czy jak wy tam to nazywacie... Powiem ci, Marysiu, że jakoś mi się to nie widzi... ciągiem gdzieś latają, a to do kina, a to do kawiarni, jakby w domu nie było dobrej kawy, a to na spacer. Patrzę ja na to i dziwno mi, jak też ten świat się odmienił. Nie tak dawniej bywało

i już sama nie wiem, lepiej czy gorzej teraz niż za moich młodych lat?

— Lepiej, babciu, lepiej — śmieje się mama —! dawniej zapalenie płuc leczono kwiatem lipowym, aspiryną, stawiano bańki i czekano — pomoże albo nie. A dziś? Kilka zastrzyków i po zapaleniu!

— Ja nie o tym! — macha ręką babcia — pewno, że co antybiotyk to nie herbatka lipowa, ale przecie i dziś ludzie umierają, czemu nie, nawet na głupią grypę umierają. Całkiem co innego miałam na myśli...

Misia przestała czesać Klusia maleńką szczoteczką i czujnie nadstawiła uszu. Ale babcia już mówiła o czym innym.

— To kiedy przyjedziesz po Misie? — spytała.

— W poniedziałek koło szóstej. Jurek po nią przyjedzie, bo ja mam po południu zajęcia.

— Dziw nad dziwy — mruknęła babcia — choć raz na rok pokaże się mój zięć kochany.

— Mamo, znowu mama zaczyna? — spytała!

42

z pretensją w głosie córka — przecież mama wie, że Jurek mamę szanuje i poważa i bardzo jest do mamy przywiązany, tylko... czasu nie starcza na wszystko, ciężko pracuje, teraz prawie co dzień przynosi biurową robotę do domu i siedzi wieczorami.

- Ty sobie gadaj zdrowa! — zaperzyła się babcia — a ja swoje wiem. Nie w smak mu teściowa w chustce, wsiowa baba, a jeszcze taka, co cudze kąty na służbie obmiała. On przecież

43

wielki pan... kupiecki synalek... — urwała, spojrzała na córkę i dokończyła już innym głosem — nie zważaj, Marysiu, na moje gadanie, to choroba przeze mnie mówi i żal, co się nabierał przez te wszystkie lata. Grunt, że wam ze sobą dobrze, że zgodnie żyjecie. No, dziękuję ci za wszystko, o Misie się nie martw, my tu damy sobie radę razem i dobrze nam będzie. Bądź zdrowa i idź już, za pięć minut leci autobus.

Mama pożegnała czule babcie, uściskała Misie, raz jeszcze przypomniała, by była grzeczna, i wybiegła. Po chwili za oknami przesunęło się ciężkie, czerwone pudło autobusu.

Babcia jakoś długo wycierała nos, widać oprócz zapalenia płuc złapała jeszcze i katar, wreszcie powiedziała do Misi:

— A teraz, wnuczusiu, opowiadaj po kolei. Co widziałaś, co słyszałaś, co tam w szkole, co w domu, musimy się nagadać za wszystkie czasy.

Ale Misia milczała. Dopiero po dłuższej chwili, miętosząc Klusiowe ucho, spytała:

— Babciu, a za babci czasów to wujek Tomek jaki by był?

Babcia na razie nie zrozumiała pytania i Misia musiała tłumaczyć, o co jej chodzi. Ale gdy wreszcie się dogadały, babci nie trzeba było długo prosić.

Lubiła opowiadać o dawnych czasach, aż dziw, że tak lubiła...

— Za moich młodych lat całkiem inaczej bywało. Ze szczętem inaczej. Ty tylko pomyśl, nie

44

w mieście się wychowałam i nie w murowanej willi, nie w dobrobycie, ino w biedzie i nie do zabawy, ino do roboty.

Misia słuchała lekko zachrypniętego głosu babci — po chwili jest tam, na wsi, idzie pełną drogą, pełną błota i wybojów, słyszy szum przydrożnych wierzb, gęganie gęsi, klekot bocianów, skrzypienie studziennego żurawia. Ryczą krowy, parskają konie, potok szumi po kamieniach, coś stuka równo, monotennie, stuk-stuk, stuk-stuk...

...Au was w chałupie przecież chłopak dorosły, Kulino — mówi Sieraczka i wali mocno kijanką w męzowską koszulę. Stuk-stuk i jeszcze, i jeszcze, żeby brud

wystukać z lnianego płótniska — Jasiak już przecie i po wojsku, nie?

— Ano. Na dwudziesty trzeci mu się obróciło.

— Nie żenicie go?

— Zdać by się zdało, co ma ganiać jak ten wiaterek po polu, ino tak w głowę zachodzę... po prawdzie Jaśkowi ino morga wypadnie i spleta za Hanke. Ulubił se Małgoške sołtysową, ale nie będzie z tego nic, oni za majontkiem patrzą, nie dadzą dziewczuchy za bidoka.

— Małgoška już zmówiona, wczora z Łękawicy od Burego przyjeżdżały swaty. Umilkła kijanka, Kulina wyprostowała zgarbiony grzbiet.

— Co wam po łbie chodzi, Sieraczko?! Przecie

45

Bury ma ze sześćdziesiąt roków i kuternoga od urodzenia, a Małgoška jak ta malwa pod oknem. —? Cóż po tern, kiej bogacz? Sam ostał na całej gospodarce, córka po pierwszej babie przed Godami umarła, z drugom dzieci ni miał no i tera pan na całych dwunastu morgach. A jakom chałupę ma, a ile bydła, wasągiem jeździ do kościoła niby ekunom. Małgoška będzie u niego masło łyżkom jadła i śmietanom popijała.

— Widzicie no, moiściewy — trzęsie głową Kulina, aż chustka zjeżdża jej na kark, ukazując chudy warkoczyk upięty w kukielkę — jak to też ludzie ino za piniondzem patrzą! Przecie ojciec Małgoški sołtys, nie bidok, a łakomi się na wiency. Małgoška odpiła? — pyta po chwili.

— Co by zaś nie. Było tam trocha płaczu, „nie pode za to stare próchno, za tego kuternogę”, wykrzykiwała, ale ojciec pas odpiął, matka swoje dołożyła i co miała dziewczucha robić? Swat odjechał spity jak bela, a za trzy niedziele ślub.

Stukają kijanki, w drewnianych nieckach przybywa upranej bielizny, teraz trzeba płukać, a płukać, a woda zimna, niech ją dunder świśnie, ręce sine, zgrabiące, plecy pieką, jakby kto na nie żaru nasypał.

— Kulino... — zaczyna po chwili Sieraczka.

— A co?

— Do Motyków przyjechała córka, wicie, ta Marianna, co w mieście u jakisi dochtorów służy. Dobra dziewczucha, czysta, robotna i na gębie ai-

46

czego. Motykowa strasznie nastaje, żeby się przecie wydała, bo to w mieście różnie bywo. Tera dziewczucha jak szklanka, proboszcz może zaświadczyć, ale co tam dalej będzie, ino Pambóg raczy wiedzieć.

— Motykowa Mańka? Co wy, Sieraczko, rozum wam odjeno? Przecie u nich na te styry morgi kupa dzieci! Cóż ona mo, ta Mańka, dziesięcioro palców i nic wiency!

— Nie gadajcie, jak nie wicie! Mańka morgę

47

dostanie, bo stary Motyka Jantka splecił. A Franek przecie do seminaryjum, na ksiendza idzie. Krowę jej dadzą i świniaka, a z miasta też goła nie wróciła. Za te pięć lat uskładała se dziewczucha niezgorsze wiano, półczwarta stówki oddała matce na przechowanie. I pierzynkę ma i poduszek trzy i reść jak się należy.

— Ale?

— Co wiem, to mówię. I nie z wiatru wiem. W swaty mnie proście, a ja już wszystko po po-rzundku załatwię.

Kulina naciąga chustkę na oczy, uciera palcami nos. Co odpowiedzieć Sieraczce, przecie widać, że nie od siebie przychodzi, że już z Motykami ugadała się...

— Wicie, staremu przełożę — mówi wreszcie — jutro po sumie odpowiemy. — I

— dodaje po namyśle: — może i ta Marianna niezgorsza dziewczucha, ino że miastowa, to mi nie w smak. Różnie pietą o tych, co na służbę poszły...

Sieraczka spluwa ze złością.

— Gadacie, aby gadać, jakbyście nie wiedzieli, że dziewczucha dobra i w piekle się nie osmali, a złej i matka rodzona nie upilnuje.

— Tyż prowdą...

Babcia milknie, bo słyhać pukanie do drzwi. To sąsiadka, pani Baranowa, przyszła spytać, czy czego z miasta nie potrzeba.

48

— Na zakupy jadę, pomyślałam, że... aa widzę, że pani Kulowa ma gościa, dzień dobry, Misiu, to i córka pewno była?

— Była, była, dziękuję, pani Sabino kochana, nic mi nie potrzeba — odpowiada babcia.

Pani Baranowa odchodzi, a Misia podskakuje na krześle i prosi.

?— Dalej, babciu, mów dalej!

Ale babcia spogląda na małą karteczkę i każe Misi podać szklanek wody. Pora zażyć lekarstwo.

— Tu mam wszystko zapisane, kiedy co połykać, bo tyle tego, że spamiętać trudno.

— Dalej, babciu, dalej!

...W śliwowym sadzie ktoś chlipie. W obejściu ruch, słońce zachodzi, krowy trza doić, matka brzęczy skopkami, krzyczy do Krasuli „nastap się, ty chadro”, ojciec siadł na progu chałupy, pustą fajkę ssie i spluwa ze złością, do wieczery jeszcze het precz, a wiadomo, chłop jak głodny to zły.

— Mańka... — odzywa się nieśmiały szept z za chruścianego płotu.

— A co?

— Czegóż ty beczysz?

— A bo mi tak jakoś...

— Nie chcesz za Jaśka iść? Na cóżeś odpijała na zgodę?

i — Marianna, Marysia, Misia

To Józia, młodsza siostra Mańki, dziewczynk, jeszcze.

— Głupiaś, sama słyszałaś, matka kazali i ta to...

— Przecie już swoje lata masz, mogłaś nie słu chać...

— Co z tego? Rodzicom posłuszeństwo się zą wsze należy. I oni nie bez racji swego dowodź Pokąd bede w mieście cudze kąty omiatać? A starość przyńdzie? Kto mnie wtedy zechce? A Ja siek chłopak niezgorszy, oni wszyscy, te Kuloki udane są. Nie piją, z babami się nie pierą...

— A może... może ty mosz kogo w tym mieś cie? — pyta nieśmiało Józka.

— Idźże, głupia, skąd bym go wziena? Mam czas za chłopakami latać? Raz w niedzielę pa puści do kościoła i czasem na nieszpór, a prze cały tydzień ino robota i robota. Przecie ja sam jedna na cały dom. I posprzątaj te pięć pokojów i ugotuj, i na targ leć, i pierz, i prasuj... Myślisz że mi w głowie latanki...

— To czego beczysz?

— Jo wim? Tak jakoś... strach oblatuje. AnJ tego Jaśka znam, ani go lubię... On pono strąsnil za Małgošką był, może teraz do mnie złość ???? że ja nie taka jak ona?

— Nie płacz, nie! Będzie wesele, grojków jui tata zmówił, wytańcujemy się za całe życie. Cie-j laka ubiją, kury mama dziś przebierała, która nil nośna, którą pod nóż... Chałupę trza bielić, obraza

50

myć, podłogi szorować, obejście ogarnąć, roboty tyła, a ty ino beczysz.

— Poczekaj, aż na cię pora przyjdzie, sama obaczysz, jak to słodko!

Zegar wybił godzinę, babcia wyjrzała oknem, powiedziała do Misi:

— Chmurzy się, pewno znów popada. Za dużo tej wody z nieba ciecze. Ale wiaterek wieje, może chmurzyska rozgoni.

Misia nie słucha, wodzi palcem po haftowanych na serwecie kwiatkach i myśli. Wreszcie[^] pyta:

— Babciu, ten Jasiak to... to mój dziadek? Babcia kiwa głową i każe sobie podać album.

Album jest dziwny, dziś takiego w sklepie się nie i kupi. Duży, pękaty, ma grube, sztywne karty,! okładki obciążone wypełzłym, zielonym pluszem! i zamyka się na metalowy zameczek. Babcia prze-| wraca karty, oglądają razem rodzinne zdjęcia,! w końcu pokazuje Misi zblakłą fotografię męż-1 czyżny w wojskowym mundurze. To dziadek. StoiJ sztywno obok krzeselka, czapkę trzyma w dłoni,|

52

a na nogach ma coś bardzo dziwnego, jakby bandaże, ciasno opinające łydki od kolan aż po cholewki trzewików.

— To owijacze — tłumaczy babcia — takie wtedy wojsko polskie nosiło mundury, a to zdjęcie zrobione jest w roku trzydziestym i trzecim, kiedy dziadka wzięli na manewry.

Babcia zamyka album, a Misia milczy i rozmyśla.

— Właściwie to dziadek był brzydki, takie miał oczy wytrzeszczone i odstające uszy i ręce ciężkie, niezgrabne. Nic dziwnego, że babcia go nie lubiła i płakała przed ślubem. Biedna babcia! Teraz też płacze. Gładzi okładkę albumu i oczy jej czerwienieją.

— Nie użył wiele dobroci ten mój kochane-czek — mówi — i za wcześnie mu się zmarło, za wcześnie...

Misia wytrzeszcza oczy. Kochaneczek?!

— Babciu, to ty lubiłaś dziadka?

— Jakżeby nie, przecie to mąż mój był i dobry człowiek. Przed ślubem tom popłakiwała. Anim znała tego Jaśka, anim wiedziała, co mnie z nim czeka. Ale potem... potem żyliśmy zgodnie, mąż mnie szanował, dzieci kochał, robotny był, zapobiegliwy jak mało któren. Jakże go było nie lubić? *

— To babcia dobrze zrobiła, że posłuchała mamy, prawda?

— Ano prawda.

53

— ? ?? się stało z tą Małgością? Z tą, co za starego, bogatego za mąż wyszła?

— Małgością? Miała ona krzyż pański z tym Burym! Bijali się co dzień i swarzyli na obrazę boską, aż ich ksiądz z ambony napominał. Bury wódkę lubił i kiedyś po pijacku tak żonę pchnął, że na dyszel od woza upadłszy, dziecko nieżywe urodziła i sama wnet za nim poszła, choć Bury się zestruchał i doktora z miasteczka przywiózł. Szkoda mi było tej Małgości, śliczna dziewczucha jak malowanie, gdzie mnie do niej...

Misia coraz zapamiętałej wodzi palcem po serwecie, jakby chciała nauczyć się na pamięć kształtów haftowanych listków i kwiatów.

— Babciu — pyta po chwili — a czemu ty nie każesz wujkowi wyjść za mąż? Sama mówiłaś, że rodziców powinno się słuchać...

Babcia śmieje się, aż podskakuje jej na szyi okrągłe bursztyny.

— Oj, Misiu, Misiu. Mój głuptasku. Czy ja mogę Tomkowi co kazać, czy on mnie posłucha? To dawniej dzieci rodziców poważaly, a teraz... każdy po swojemu chce żyć i mądrzy się, wszystko wie lepiej niż stary, głupi ojciec albo jeszcze

głupsza matka. Tomek przecie dorosły chłopak, robi, co mu się widzi, a czy dobrze robi? Czy ja wiem?

Misia podskakuje nagle na krześle i woła:

— Zaraz się zapytam wujka, czemu babci nie słucha, zaraz się zapytam!

- 54

— Ani się waż, Misiu! Nie twoja sprawa.

— Czemu nie moja? Wujek wrócił, motor wstawia do komórki, zaraz tu będzie.

I Misia nie słucha wołania babci, biegnie do drzwi.

— Wujku, wujku, dzień dobry!

ROZDZIAŁ IV

Wujek Tomek nie ożeni się nigdy

— Wujku, przewieź mnie na motorze!

— Nie mam czasu.

— Dlaczego nie masz? Przecież wróciłeś z pracy i nic nie robisz?!

— Ale zaraz muszę się umyć, ogolić, przebrać i zdążyć na autobus na siódmą piętnaście.

— A dlaczego nie bierzesz motoru?

— A dlatego, że będę pił wódkę, a po wódce nie wolno prowadzić.

— To nie pij.

— Na zabawie zawsze ten jeden kieliszek się wypije. Albo dwa.

— Albo trzy.

— Miśka, nie zaczepiaj, bo znów cię na dachu posadzę!

— No to co? Wtedy zeszałam, to i teraz bym zeszała.

— Zeszłaś, zeszałaś, tylko że z jednej spódniczki zrobiły się dwie.

— Bo tam był gwóźdź. A jutro mnie przewieziesz?

56

— Może. Jak będziesz grzeczna.

Misia pociąga nosem. Lubi zapach pasty, a wujek właśnie wyniósł na ganek czarne półbuciki i zawzięcie je pastuje. Potem czyści szczoteczką. Misia zerka to na wujka, to na błyszczące noski butów i pyta:

— Wujku, a ta Krysia to ładna?

— Jaka Kry... Aaa, już ci babcia naopowiadała?

— Wcale nie babcia, właśnie że mama. I powiedziała, że jak się teraz nie ożenisz, to cię znać już nie chce. I że ta Krysia aż za dobra dla ciebie.

Wujek akurat zamykał pudełko z pastą, ze złości za mocno nacisnął, wieczko się omsknęło i wujkowy palec buch! W czarną, tłustą maź.

— A niech cię! Powiedz swojej mamie... — urwał i zaczął pogwizdywać.

— Co powiedzieć mamie, co?

— Pstro!

Bukiet wylazł z budy, przeciągnął się, usiadł i tylną łapą drapie wygięty grzbiet. Kiedy indziej Misia już by była przy psiej budzie, ale dziś co innego ją interesuje:

— Wujku, powiedz, ta Krysia jest ładna?

— Ładna.

— I miła?

— Miła.

— I umie gotować?

— Umie.

57

— No, to na co czekasz? Babcia przecież zaJ wsze mówi, że jak dziewczyna jest ładna, miłaj i umie gotować, to będzie z niej dobra żona.

— Miśka, odczep ty się ode mnie, bo jak stracą

58

cierpliwość... — wujek znaczącym gestem kładzie palec na pasku od spodni. Misia śmieje się i idzie za wujkiem do łazienki. Wcale się nie boi jego pogroźek, wujek tylko tak gada, a jeszcze nigdy nikogo nie uderzył. Misia bardzo lubi patrzeć, jak wujek się goli. Tak śmiesznie wygląda z namydloną twarzą, zupełnie, jakby go ktoś obłożył bitą śmietaną.

Misia siada na brzegu wanny i machając nogami w powietrzu przygląda się, jak wujek wyciska krem z tubki, a potem jeździ mokrym pędzlem po policzkach, po brodzie, po szyi. I z tego kremu robi się biała piana.

— Wujku — zaczyna Misia z innej beczki — a dlaczego tata powiedział o tobie, że dostałeś po kulach i teraz dmuchasz na zimne?

— Kiedy tata tak powiedział? — Wujek obraca ku Misi namydloną twarz.

— A niedawno. Wtedy jak mama opowiadała o Krysi.

— Daj mi spokój, skąd mogę wiedzieć, dlaczego twój tata tak powiedział?

— A ja wiem, wiem, wiem! — podskakuje Misia — ty musiałeś znać jakieś bardzo niedobre panny i teraz myślisz, że wszystkie są takie.

— Znałem jedną — mruczy wujek. — Wystarczy.

— I ona była zła, naprawdę zła?

— Jak osa.

— Kiedy osy wcale nie są złe, one tylko wtedy

59

kłują, kiedy je ktoś drażni. Może ty tę pannę drażniłeś?

— Miśka!

— No co, przecież ja nic nie mówię.

— Ładne nic, paplesz cały czas jak papuga.

— Już nie będę.

Chwila milczenia. Wujek myje ogoloną twarz, wyciera, potem bierze flakon z wodą kolońską.

— Mnie też pokrop, mnie też.

Pachnące kropelki padają na włosy Misi. Jak przyjemnie, chłodno i rześko.

— Złaz z wanny, będę się mył.

Misia posłusznie wstaje, patrzy przez chwilę na gładką świeżo ogoloną twarz wujka, a potem mówi poważnie:

— Wujku, ty jesteś bardzo przystojny. Teraz trzeba uciekać z łazienki, bo wujek

strasznie chłapie przy myciu, a potem będzie się ubierał, wciągnie białą, szeleszczącą koszulę, zawiąże krawat, a może muchę? A potem przyjdzie powiedzieć babci „do widzenia" już nie wujek Tomek, zwyczajny młody człowiek w skórzanej kurtce i sportowych butach, ale elegant w ciemnym ubraniu, wyświeżony i pachnący, nie Tomek, ale pan inżynier Tomasz Kula.

I nie wsiądzie jak zwykle na czerwony, warczący motocykl, tylko pojedzie do miasta autobusem. Wróci późno w nocy, taksówką, i babcia znów będzie się gniewać, że traci pieniądze na głupstwa.

60

Oho, babcia już się obudziła z popołudniowej drzemki, pokaszluje, szeleści gazetą, trzeba do niej lecieć!

— Babciu, babciu, wujek Tomek nigdy się nie ożeni, zobaczysz!

— Bój ty się Boga, Misiu, czegoż tak krzyczysz? — wzdryga się babcia — i skąd wiesz, że Tomek się nie ożeni? Mówił ci co?

— Nic nie mówił, tylko jak go spytałam o pannę Krystynę, to poczerwieniał i popatrzył w ziemię.

Babcia przesuwa okulary na czoło i patrzy uważnie na wnuczkę.

— Poczerwieniał, powiadasz? To dobrze, to bardzo dobrze.

— Dlaczego dobrze, babciu, dlaczego? — niecierpliwi się Misia.

Ale babcia nie odpowiada, zerka na zegarek i pyta z uśmiechem.

— A kawusi ze śmietanką byś się nie napiła, co?

I owszem, Misia bardzo lubi pić kawę u babci, bo babcia zawsze do tej zwyczajnej inki dosypuje troszeczkę prawdziwej, marago albo neski. Sama pije prawdziwą kawę, a Misi dodaje odrobinę, może ćwierć łyżeczki, ale i tak robi się z tego wspaniałe picie, pachnące i ciemne, nie takie bure byle co jak w domu.

Misia przynosi z kuchni elektryczny czajnik, filiżanki, cukier, puszki z kawą i wszystko to

61

ustawia na stoliku obok babcinego łóżka. Prawda, jeszcze śmietanka.

— I ciasto przynieś — przypomina babcia — mama pewno schowała do szafki pod okno.

Po chwili obie popijają kawę i chwalą babkę upieczoną przez mamę.

— Z twojej mamusi dobra gospodyni — mówi z zadowoleniem babcia — wszystko potrafi zrobić, tylko jeden sernik się jej nie udaje, a wiesz, dlaczego?

Ale Misie nie obchodzą sekrety przyrządzania serników, co innego jej w głowie.

— A wujek powiedział, że panna Krystyna umie gotować. Skąd umie, babciu?

— Pewno nauczyła się od swojej mamy, tak jak twoja mama ode mnie.

— A babcia od swojej mamy?

— Skądże! — śmieje się babcia — dawniej na wioskach ludzie całkiem inaczej żyli niż dzisiaj i nie tak jadaliby jak państwo w mieście. Moja matula to umiała aby żur gotować, barszcz, zacierki, pierogi, kluski, kapustę... A na święta placki wypiekała, zawsze takie same z serem, z makiem, z posypką. O babach, przekładańcach, mazurkach, sernikach ani nie słyszała.

— To skąd babcia wszystko umie?

— Od mojej pani się nauczyłam, od tej doktorowej, u której pięć lat byłam w obowiązku. Ona była gospodyni sławna, wszystko umiała i piec, i gotować, i konfitury smażyć, tom się przy niej

62

wyszkoliła. A potem jak już na wieś wróciłam i wydałam się za twojego dziadka, wołali mnie nieraz na wesela, żebym coś delikatniejszego, miejskiego przyrządziła. Sam proboszcz, choć gospodynię miał dobrą, zawsze przed odpustem brał mnie do pomocy i kazał tort orzechowy piec, ptysie z kremem i indyka ze słodkim nadzieniem. A ty masz ciekawość do kuchni?

Misia kręciła głową przecząco. To przecież strasznie nudne zajęcie, znacznie przyjemniej zjeść to, co mama przygotowuje.

— No, jesteś jeszcze mała — mówi babcia — ale jak podrośniesz, musisz nauczyć się gotowania, mężczyźni przecie głównie za tym patrzą i szukają żony pracowitej, gospodarnej...

— Tak jak panna Krystyna? — wtrąciła Misia.

— A cóżeś ty się tak tej dziewczyny uczepliła? Widziałaś ją choć?

— Nie, nie widziałam, ale tak ciągle sobie myślę, jak to właściwie jest...

wujek Tomek sam sobie wybiera narzeczone i nie może dobrze trafić, a babci mama

wybrała narzeczonego i babcia była zadowolona. Więc mnie się zdaje, że dawniej było lepiej...

Babcia chrząka i zgarnia okruchy ciasta rozsypane na serwecie.

*— Czy ja wiem, moje dziecko? — mówi — różnie bywało. I źle, > i dobrze, jak to w życiu. Na przykład moi państwo mieli córkę, jedynaczkę,

63

męża jej naraili młodego, przystojnego, chcieli jak najlepiej, a ona i tak była całe życie nieszczęśliwa...

— Dlaczego, babciu?

— Czekaj, odnieś najpierw filiżanki do kuchni, schowaj ciasto, zrób porządek. Okropnie nie lubię bałaganu. Tego mnie też nauczyła pani doktorowa, nigdy nie pozwoliła odkładać roboty „na potem”.

— Dobrze, ale opowiadaj, babciu, no nie daj się prosić!

...Kuchnia jest jasna, przestronna, wykładana kafelkami, ma wodociąg i zlew, bo dom nowy, niedawno wykończony. Stół, kredens, półki, szafki lakierowane na biało, na podłodze linoleum. Przyjemnie w takiej kuchni pracować, a byłoby jeszcze przyjemniej, gdyby nie to, że cudza...

— Marianno, dziś na kolację podamy paszteciki z mózdzkiem, cielecinę pod beszamelem, a na deser zrobi Marianna krem kawowy, pan Michalski przepada za kawowym kremem.

Oho, znów panna Kocia będzie nocą popłakiwać, jej pokój przylega do służbówki i Marianna nie raz i nie dwa, zanim zaśnie, słyszy pochlipywanie.

Głupie te miastowe panny! Przebierne, że nie daj Boże! Pan Michalski chłopak jak malowanie, elegancki, a za panną Kocią wprost przepada.

64

Jakie bukiety jej znosi, a jakie czekoladki! Marianna schowała kilka pustych, wyrzuconych bombonierek, trzyma w nich nici, chusteczki, drobiazgi. A kiedy pan Michalski przychodzi z wizytą i siedzą we trójkę w salonie, bo pani doktorowa prawie nigdy młodych sam na sam nie zostawia, to narzeczonego oczu nie spuszcza z narzeczonej, tak patrzy, że kamień by poruszył. A panna Kocia milczy, czasem tylko jakieś słówko bąknie, a najchętniej siada do fortepianu i jeden kawałek za drugim wygrywa, bo wtedy nie musi rozmawiać. Oo, Marianna niejedno widzi i słyszy, przecież podaje do stołu, sprząta pokoje, kawę do salonu niesie, a oczy i uszy ma na swoim miejscu.

— Mamo, ja nie chcę iść za pana Michalskiego, nie cierpię go, czy mama nie widzi, że jemu tylko o mój posag idzie?

— Głupstwa pleciesz, moja Kociu, mężczyzna, który poważnie traktuje małżeństwo, musi myśleć o finansach. Pan Michalski zakłada duże przedsiębiorstwo, twój posag wzmocni jego pozycję. A do ciebie jest bardzo przywiązany, sam mi to mówił nie jeden raz.

— Mówić można wszystko. Ja go nie kocham, umrę przy nim z nudów, przecież jego nic nie interesuje tylko weksle, bank, żyranci, tylko o tym potrafi mówić. Czy on kiedy był na koncercie, czy przeczytał jaką książkę?

— Za to pan Drozd wierszyki pisze i na skrzy-peczkach wygrywa, prawda? — pani doktorowej

5 — Marianna, Marysia, Misia

aż nos czerwienieje z irytacji — pięknego moja córka znalazła sobie adoratora! Co ty widzisz w! tym bakalarzynie? Chude to, czarne, ani postury, ani wzięcia. W dodatku bez grosza. I co, chcesz panią nauczycielową zostać, może jeszcze razem z nim dzieciakom zasmarkane nosy ucierać? Po tośmy cię do konserwatorium

posyłali, języków uczyli, żebyś panią Drozdowa została? A ty wiesz, że jego ojciec jest szewcem? Śliczne pokrewieństwo, teść szewc, a teściowa pewno praczka.

— Ale ja go kocham, mamo.

— Moja Kociu, nawet mi nie mów takich głupstw. Kocham, kocham! Ja twojego ojca pokochałam dopiero po ślubie.

Może panna Kocia ma rację? Pan Michalski śliczny i elegancki, ale za nielubianego iść, to powróż założyć na szyję. Marianna raz widziała ^panienkę z nauczycielem Drozdem w parku. Wracała z majowego i przez park się jej zachciało iść, bo wieczór był piękny. Jak oni na siebie patrzyli! Panna Kocia wyglądała niby lampka, w której ktoś złote światło rozpałił, i całkiem ładna była, choć tak po prawdzie, to do ładności jej daleko. Włoski ma rzadkie, bez koloru, oczy wpadnięte, nosek długi, ostry, wygląda jak myszka, taka sama szara i niepozorna. Może to i prawda, że pan Michalski tylko o posagu myśli? Oo, bo rodzice niczego jedynaczce nie poskapiają, willa na osiem pokoi już się wykańcza, meble w Warszawie zamówione, wyprawa aż gdzieś zagranicą, we Fran-

66

cji czy gdzie... Różnie myśli Marianna, a czas mija i nagle okazuje się, że panna Kocia już z losem pogodzona, nie buntuje się, nie walczy. Pani doktorowa pogadała z kim należy, szepnęła słów-

67

ko burmistrzowi, drugie proboszczowi, komisarz policji był ze trzy razy na kolacji i pan Drozd po cichutku wyleciał z gimnazjum jak z procy. Przenieśli go aż na Wołyn do małego miasteczka.

— Niech Bogu dziękuje, że za kratki nie trafił — powiedziała pani doktorowa — aż się cała trzęsę, kiedy pomyślę, że omotał moje dziecko! Przecie to był bolszewik, wywrotowiec, komuni- i sta! Takie książki, takie gazety w pokoju trzymał, że aż zgroza o tym mówić! Kościoły chciał zamykać, księży mordować, sakrament małżeństwa] unieważnić.

Marianna aż się żegna z przestרחu. Że też tacy ludzie chodzą po świecie, Boga się nie bojąc! I Uwierzyła swojej pani, jakżeby nie. Ale potem i usłyszała tu jedno słówko, tam drugie, najwięcej od Weronki, tej, co to prać chodziła do dyrektora gimnazjum.

— Wygryźli bidaka, zaszczuli jak psy zająca. Panna Kocia ulubiła go sobie, a im to nie w smak było, że na drodze im stał, bo przecież umyślili dziecko za tego Michalskiego wydać. Będą oni jeszcze płakać, bo to drapichrust jest, że nie daj ty Boże!

Wesele się odbyło, panna Kocia wyglądała niby nieboszczka w ślubnym welonie i koronkowej sukni, za to pan Michalski nogami przebierał jak pies na mrozie.

Pojechali potem w podróż poślubną własnym automobilem aż do Włoch, panna

68

Kocia mówiła, że ojca świętego zobaczy. Państwo też na wakacje aż nad morze się wybrali odpocząć, bo takie wesele, taki ślub to nie przelewki, a Mariannę do domu puścili...

— To ty, babciu, już wtedy nie wróciłaś do pracy i wyszłaś za męża, prawda?

— A prawda. Całkiem serce do moich państwa straciłam, kiedy się wydało, jak to z tym bida-kiem Drozdem było. Poszłam do naszego księdza, wszystko mu jak na spowiedzi wyznałam, a on list do mojej pani napisał, doniósł, że mi tu męża raję i że przez to do służby nie wrócę. Powiem ci, że nawet nie cieszyły mnie te podarunki, com od nich dostała. A dali mi sporo, bo i żelazko z duszą i móżdzież, rondle, garnki i talerze.

— A co się stało z panną Kocią? Bo babcia mówiła, że ona była nieszczęśliwa. Skąd babcia wie?

— Od naszego proboszcza. To był ich znajomy i on mnie do nich z listem i z poleceniem posłał. Żle się żyło panience Koci, bardzo źle. Pan Michalski jej posag w karty przegrał, za innymi ganiał, piekłował o byle co. Dzieci troje jeszcze w niemowlęctwie straciła, tylko jedno się uchoowało, córka. Teraz podobno w Warszawie przy tej córce mieszka, a sterana, a zmarnowana, że niech Bóg broni, choć przecie młodsza ode mnie. A o mężu od wojny słuch zaginął. Może umarł, a może i żyje, bo na takich jako on śmierci nie ma.

69

Babcia wytarła głośno nos i kazała Misi wyj-j rzec na podwórze.

— Mówiłam Tomkowi, żeby kury zamknął, ale kto go tam wie, czy pamiętał. Misia wybiegła i dość długo nie wracała. Wresz-1 cie wpadła z krzykiem. . — Kury zamknięte, Bukietowi nalałam wody do miski, a przy kiosku stoi wujek Tomek i piwo pije!

— Tomek?! — zdumiała się babcia — przecież do miasta miał jechać... Co w niego znów wstąpiło? Albo tobie dziecko coś się troi przed oczami, albo ten Tomek ze szczętem zgłupiał.

— Nie troi się, nie, niech babcia patrzy, fur-] tkę otwiera.

Zapiszczały źle nasmarowane zawiasy, zatupo-tały kroki na kamiennych płytach dróżki, trzasnęły drzwi wejściowe. Chwileczkę panowała cisza, potem schody zaczęły trzeszczeć. Wujek Tomek poszedł do siebie na górę, nie wstępując do matki.

Misia spojrzała na babcię, babcia na Misie, obie westchnęły.

— Ze szczętem zgłupiał!

ROZDZIAŁ V

Panna Krystyna

???? prosiła, żeby Misia bawiła się w ogrodzie, żeby nie wychodziła na szosę.

Ale w ogrodzie mokro, trawa pod owocowymi drzewami dopiero wschodzi, na ścieżkach między grządkami błoto, a na podwórku nudno.

Wujek Tomek śpi, a może tylko udaje, bo wie, że gdy tylko zejdzie na dół, babcia zacznie wypytywać, dlaczego na tańce nie poszedł, dlaczego tak wcześnie wrócił do domu?

Babcia zaraz po śniadaniu kazała sobie podać grubą książkę do nabożeństwa i różaniec i teraz modli się, siedząc w łóżku, oparta o poduszki.

Kiedy babcia odmawia modlitwy, nie wolno jej przeszkadzać, więc Misia się nudzi.

Uczesała Klu-sia, posadziła na słońcu Balbinę, żeby się opalała, i już nie wie, co robić. Niby pamiętała o wszystkim, a zapomniała o piłce, o skakance, o zabranu nowego numeru Płomyczka.

— Gapa! — karci się dziewczynka i wychodzi na podwórze. Zaraz przybiega do niej Bukiet, łasi się, ociera o jej kolana, merda ciężkim, puszy-

71

stym ogonem. Właściwie Misia powinna zaprowadzić Bukieta do budy, przypiąć mu do obroży długi łańcuch, bo Bukiet tylko w nocy może biegać po podwórzu i po sadzie, w dzień musi leżeć w budzie i pilnować. Ale Misi pyszna myśl przychodzi do głowy. Pójdzie z Bukietem na spacer!

Biegnie do domu, zdejmuje z wieszaka sta-' ry, skórzany pasek, który zastępuje Bukietowi smycz, chwilę waha się, czy powiedzieć babci, że wychodzi, czy lepiej nic nie mówić? Ale z pokoju słychać mruczenie i szelest przewracanych kartek.

Babci nie wolno przeszkadzać, a Misia pobiegnie tylko za zakręt, do mostku i

zaraz wróci.

Bukiet jest zachwycony, skacze na Misie, usiłując ją polizać ciepłym, wilgotnym jęzorem. Skarcony, uspokaja się i wychodzą razem w przykładowej zgodzie. Misia ostrożnie zamyka furtkę, by nie piszczała. Po co babcia ma przerywać swoje mruczenie?

Idą skrajem szosy, zatrzymując się co kilka metrów, bo Bukiet ma nieznośny zwyczaj obwąchiwania wszystkiego, co znajduje się na drodze. Misia ciągnie do przodu, Bukiet do tyłu, bo uparciuch musi powąchać kępkę żółtych mleczy rosnącą na brzegu przydrożnego rowu.

— Chodź, Bukiet, mlecze nie pachną, możesz mi wierzyć.

Nieznośny pies, nie umie iść przy nodze, nie j słuca, wygląda na to, że nie Misia prowadzi Bukieta na spacer, a Bukiet ją.

72

Jakoś mało ludzi na drodze, jeszcze wcześniej, dopiero w pół do dziesiątej, w ogródkach pusto, tylko na podwórzach mignie czasem jakaś postać.

— Niedziela jest dniem odpoczynku — mawia babcia — ale nie dla kobiet. Kobiety nie odpoczywają nigdy. W każdy dzień trzeba nakarmić rodzinę i dobytek, kura dopomina się o ziarno, krowę trzeba wydoić, świniom zadać żarcie nawet i przy największym święcie.

73

To prawda, choć tu, w Wojnowie, mało kto hoduje krowy. Kury, owszem, gęsi, króliki widuje się często, czasem nawet słycać kwiki i pochrząkiwanie zamkniętych w chlewiku wieprzków. Bo Wojnow to dziwne osiedle, nie miasto i nie całkiem wieś, takie pół na pół.

Bukiet jest naprawdę nieznośny, Misia zaczyna żałować, że wzięła go na spacer, pies raz po raz szarpie pasek, aż ręka boli. I prawdę mówiąc nic ciekawego się na szosie nie dzieje.

— Pójdę jeszcze kawałek do mostku i wracam — postanawia dziewczynka.

Akurat! Bukiet zobaczył na przeciwległym brzegu rzeczki małego pieska, szarpnął się, wyrwał Misi z ręki zaimprovizowaną smycz i tyle go dziewczynka widziała!

— Bukiet! Bukieci! do nogi, wracaj, idziemy do domu! — prosi Misia, ale pies jej wcale nie słuca. Jeszcze by też! Wyrwał się raz na swobodę, nie czuje na sobie ciężaru łańcucha, nie widzi przed nosem siatki ani płotu, dokoła drzewa i otwarta przestrzeń, w dodatku wabi go i zachęca do zabawy śliczna, mała, kudłata suczka.

Misia jest trochę zła na Bukieta, ale musi się uśmiechnąć, patrząc na jego niezgrabne podskoki, na przymilne wachlowanie ogonem, na zalotne podczołgiwanie się do pozornie obojętnej, zajętej swoimi sprawami psiny. Oho, już Bukiet zawrócił jej w głowie, już podbiegła do wielkiego czarnucha, już nie ucieka przed nim. Podska-

74

kuje, przysiada, pozwala obwąchać swój ciemny, wilgotny nosek, popiskuje przyjacielsko. Zabawa na całego!

Misia zrezygnowana przysiada na słupku. Wie, że teraz żadna siła nie oderwie Bukieta od suczki, musi się wyganiać, wyhasać, wytarzać w trawie, napiszczyć, naszczekać, nawarczyć aż do utraty tchu. Dopiero wówczas pozwoli się złapać i będą mogli wrócić do domu.

Suczka zaciekawilo nagle coś po drugiej stronie szosy, pobiegła pędem. Bukiet za nią. W tej samej chwili zza zakrętu wytoczył się ciężki czerwony autobus. Suczka zdążyła przebiec, a Bukiet...

Misia zobaczyła czarne, kosmate ciało psa wylatujące w powietrze, usłyszała skowyt, a potem już nic nie widziała i nic nie słyszała, bo zamknęła oczy i zatkała uszy palcami. Gdy wreszcie odważyła się uchylić zaciśnięte powieki, zobaczyła, że autobus stał kilkanaście metrów od miejsca wypadku, choć przystanek znajdował się znacznie dalej, a nad rowem klęczała jakaś dziewczyna. Że to była dziewczyna, Misia poznała po długich, jasnych włosach, spływających do połowy pleców, bo poza tym widziała tylko te plecy odziane w coś granatowego i końce barwnej apaszki czy szalika, powiewające na wietrze. Dziewczyna klęczała nie zwracając uwagi na błoto i wyglądało, że usiłuje podźwignąć, podnieść coś, co leży w rowie.

75

Misia oprzytomniała. Krzyknęła: — „Bukiet!” — i jednym skokiem znalazła się przy dziewczynie.

— Nic mu nie będzie — powiedziała nieznajoma i odgarnęła opadające na twarz włosy — jest tylko ogłuszony upadkiem.

Machnęła ręką w stronę kierowcy, krzyknęła coś i zaraz potem autobus odjechał.

— Bukiet! Bukiecik! — płakała Misia, usiłując podźwignąć bezwładny psi łeb. — To moja wina! Babcia nie pozwala i mama nie pozwala, a ja zawsze robię na przekór.

Dziewczyna uważnie przyjrzała się Misi.

— To twój pies? — spytała.

— Nie mój, babci.

— A więc to ty jesteś Misia... — uśmiechnęła się nieznajoma.

— Tak. Skąd pani wie?

Misia wlepia w dziewczynę okrągłe ze zdumienia oczy. Coś jej zaczyna świtać?

Ładna? Oh, jeszcze jaka ładna! Włosy ma jak ze złotego jedwabiu. Oczy niebieskie. Żakiecik w kratkę, bluzka jedwabna i granatowe spodnie. Teraz trochę wygniecione i zabłocone na kolanach, ale to nic...

Miła? Jeszcze jaka miła! Zobaczyła Bukieta pędzącego wprost pod koła, zatrzymała autobus, wyskoczyła i teraz klęczy nad tym nieznośnym psem, głaszcze go, ogląda, obmacuje grzbiet, łapy, przemawia takim słodkim, pieszczotliwym głosem. Czy inna by to zrobiła?

76

??? Misia musi się upewnić.

— Czy ty... czy pani umie gotować?

Dziewczyna patrzy na Misie, jak na osobę niespełna rozumu. Co za dziwne pytanie!

— Umiem... — odpowiada niepewnie — ale dlaczego...

— W takim razie to ty jesteś Krystyna! — woła Misia triumfalnie.

Teraz oczy dziewczyny robią się okrągłe ze zdumienia.

— Skąd wiesz? — szepce i przestaje głaskać psa.

— Mama tak powiedziała. Że jesteś ładna, miła i że umiesz gotować. Wszystko się zgadza. Przyjechałaś do wujka? On jeszcze śpi, ale to nic, ja go obudzę i pojedziemy na spacer. Wczoraj obiecał, że mnie przewiezie. Ciebie puszcę na tylne siodełko, a ja usiądę między wami. Już nieraz tak jeździłam, to nic trudnego, trzeba tylko...

— Cicho! — krzyczy nagle Krystyna — ja... ja wcale nie przyjechałam do twojego wujka. Niech sobie śpi, jeśli może... On... on... może spać po tym, co zaszło wczoraj, a ja... — głos się jej załamuje. Sięga do kieszeni po chusteczkę.

— Ty płaczesz? — szepce Misia i czuje, że za chwilę sama się rozbeczy. — Nie płacz, nie warto, on już taki jest, babcia zawsze mówi, że Tomek to jej

największa zgryzota.

— Moja też — lka Krystyna i głośno siąka nosem.

77

Misi jest przykro i jakoś dziwnie, gdy patrzy na tę dorosłą, śliczną dziewczynę beczącą niby małe dziecko, ale to nie przeszkadza jej myśleć i to bardzo poważnie myśleć.

— Jeśli nie przyjechałaś do wujka, to skąd sil tu wzięłaś? Babcia mówiła, że mieszkasz na Sępolnie.

— Bo... bo ja chciałam się z nim zobaczyć^ chciałam mu coś wytłumaczyć, ale teraz wiem, że nie warto, że i tak już nic... Wracam najbliższym autobusem.

— A on? — pyta Misią i dramatycznym ge-1 stem wskazuje na psa, który ocknął się z zamroczenia i usiłuje wstać, choć idzie mu to bardzo nieskładnie.

Dziewczyna podsuwa obie ręce pod brzuch psaj pomaga stanąć, podtrzymuje go i nie patrząc na Misię, mówi niewyraźnie:

— No dobrze, odprowadzę cię i tak muszej dojść do przystanku.

Misią z radości zaczyna podskakiwać na jednej nodze.

— Nie musisz się śpieszyć, autobus właśnie; odjeżdża, a następny za pół godziny.

— Za godzinę — stwierdza ponuro Krystyna — przecież dziś niedziela...

Bukiet zadrżał i zaskomlał, gdy tuż obok niego przetoczył się autobus, warcząc i ciągnąc za sobą mdły zapach spalin.

— Spokojnie, piesku, nie bój się — powiedziała

78

miętko Krystyna — przelekleś się, prawda? Teraz nie będziesz wybiegał na szosę jak nieprzytomny. A właściwie dlaczego puściłaś smycz? — zwraca się do Misi.

— On mi uciekł, poleciał za pieskiem — Misią pokazuje brązową, kudłatą suczkę, która przysiadła nie opodal i czeka, jakby chcąc wiedzieć, czy jej towarzyszy wyszedł bez szwanku z tej strasznej przygody.

— Chodźmy — mówi Krystyna ujmując pasek, obłożony i wilgotny — zejdziemy nad rzeczkę, może Bukiet chce się napić wody.

Schodzą obie po miękkim zboczu, nie bacząc na obcasy, grzęznące w rozmięklej glinie.

Jakie Bukiet ma pragnienie! pije i pije bez końca, chłepce różowym językiem przejrzystą wodę i wcale nie ma zamiaru przestać. Pewno ze zdenerwowania, mama, kiedy się czymś przejmie, też musi wypić szklanekę wody.

Nareszcie! Bukiet uniósł łeb, popatrzył przed siebie jeszcze trochę zamglonym wzrokiem, potem otrząsnął się dokładnie od głowy aż do ogona.

— Już wszystko dobrze! — ucieszyła się Krystyna — nic mu nie będzie. Chory pies nigdy się tak nie otrząsa. A potem patrzy na Bukietę i mówi do Misi: — Musisz go porządnie wytrzeć i wyszczotkować po powrocie do domu, popatrz, jaki jest brudny i zabłocony.

— Ty też — stwierdza krótko Misią. Dziewczyna ogląda swoje ręce, zakiet, spodnie...

79

— Ładna historia — mruży — jak ja wsiądę do autobusu, jak wrócę do domu? A buty? Boże święty, ile gliny na obcasach!

— Powiem ci coś — zaczyna Misią — pójdziemy razem do domu, dam ci ręcznik, szczotkę i mydło. Jeśli nie chcesz, wcale nie musisz spotkać się z wujkiem, on siedzi u siebie na górze, a ty zostaniesz na dole.

Policzki dziewczyny dotąd lekko różowe robią się nagle czerwone, zupełnie jak te jesienne jabłka, malinówki.

— Nie chcę — mamrocze niewyraźnie — może mnie zobaczyć przez okno. Nie chcę!
— Okno pokoju wujka Tomka wychodzi na ogród — tłumaczy rzeczowo Misia — a my wejdziemy od podwórka.

— Nie chcę — upiera się Krystyna.

Misia przygląda się spod oka zmieszanej, zarumienionej dziewczynie. Coś tu nie jest w porządku...

— A właściwie dlaczego nie chcesz? — pyta. Krystyna milczy, odwraca głowę, podejmuje

z ziemi jakiś patyk i pilnie oskrobuje błoto z granatowych pantofli.

— Oczywiście — mówi Misia drżącym głosem, a minę ma tak zawiedzioną i nieszczęśliwą, jakby ją spotkało coś okropnego — mogłam się tego spodziewać! Nie chcesz ze mną rozmawiać, bo jestem mała. Wszyscy dorośli są tacy sami! Oddaj mojego psa, nie potrzebuję, żebyś go odpro-

80

sadzała, sama trafię do domu, dam sobie radę, chociaż mam dopiero dziesięć lat i trzy... trzy...

— Masz tu chusteczkę — mówi miękkim głosem Krystyna — wytrzyj nos i nie rycz, skoro chcesz, aby cię traktowano jak dorosłą.

?— Ty też ryczałaś — stwierdza Misia niewyraźnie, głosem stłumionym przez chustkę.

— Ja to co innego, ja mam swoje powody. A zresztą już nie płaczę. — Krystyna ociera policzki wierzchem dłoni, jakby była małą dziewczynką. Przez chwilę obie pociągają nosami, przy czym nos Misi czerwienieje i wygląda jak kawałek buraczka przyklejony między policzkami.

Bukiet ma widać dość tej żalostnej choć niemej sceny i szczeka donośnie, jakby chciał powiedzieć:

Czy długo jeszcze będziemy popasać w tym błocie?!

Krystyna nagle wybucha śmiechem.

— Ależ z nas wariatki! Gdyby nas ktoś zobaczył, mógłby pomyśleć, że obie straciłyśmy rozum! Chodź, odprowadzę cię do domu.

Idą razem skrajem szosy, Krystyna prowadzi Bukieta, który nie wyrywa się, nie ciągnie, jest potulny jak baranek. Milczą. Ale Misie korci straszliwie, po prostu język ją świerzbi, nie może dłużej wytrzymać.

— Czy wujek Tomek był u ciebie wczoraj wieczorem? — pyta.

— Tak.

— A dlaczego tak wcześnie wrócił? Mieliście

— Marianna, Marysia, Misia

iść na tańce, prawda? Wujek golił się i czyścił buty, sama widziałam.

Krystyna zatrzymuje się gwałtownie i Misia widzi wyraźnie, że drżą jej wargi i broda, ojej, co to będzie, ona za chwilę znów zacznie beczeć! Ale, nie, nie ma mowy o płaczu. Oczy Krystyny ciemnieją, brwi zbiegają się w jedną, cienką linię, a policzki robią się tak czerwone, jakby ktoś chlusnął na nie krwistą farbą.

Dziewczyna zrobiła się zła. Wybucha gwałtownie:

— Ja już nie mogę z nim wytrzymać! Ja w ogóle nie rozumiem, czego on ode mnie chce! Mówi, że mnie kocha, że chciałby się ze mną ożenić, a zachowuje się, jakby mnie nienawidził. Twierdzi, że kłamie, że go oszukuję, nie wierzy mi, kontroluje, sprawdza... A wczoraj ^— głos Krystyny załamał się ostatecznie i umilkł.

— Co było wczoraj? — pyta Misia, a policzki ma jeszcze ezerwieńsze niż Krystyna. Więc taki jest wujek Tomek? Ładna historia!

— Wczoraj czekałam na niego, byłam już gotowa, kiedy przyszedł. I on zwrócił

uwagę, że poleciało mi oczko, i powiedział, żebym zmieniła pończochy. A ja...~. ja nie miałam innych pończoch, te były ostatnie. Więc zrobiło mi się głupio i wstyd, i żeby tego nie pokazać, zażartowałam — „jak już wyjdę za ciebie za męża, to może będę mieć więcej niż jedną parę porządnych pończoch, ale teraz muszę iść w tych z oczkiem”. Wtedy on... ach, Misiu, to było okropne!

— Co on zrobił? — pyta Misia i aż usta otwiera z przejęcia.

— Powiedział, że mógł się tego spodziewać, że wszystkie dziewczęta są jednakowe, że chodzi im tylko o pieniądze i o szmatki, i że gdyby nie był inżynierem i zarabiał dwa tysiące, tobym z pewnością na niego nie spojrzęła. Nazwał mnie materialistką, powiedział, że jestem wyrachowana...

Misia nie rozumie tych dwóch ostatnich słów, ale jest pewna, że wujek Tomek powiedział coś okropnego, że obraził biedną Krystynę.

— Wtedy ja powiedziałam, żeby się wynosił, że nie chcę go więcej widzieć na oczy i że wszystko między nami skończone! I on... on sobie poszedł!

Misia zaciska pięści i szepce przez zęby.

— Głupi wujek! Głupi, głupi!

A potem przygląda się uważnie Krystynie i widzi coś, czego przedtem nie zauważyła. Zakieciak w kratkę jest uszyty z koca, jedwabna bluzka porządnie podniszczona, a spodnie chyba z taniego materiału. Tylko buty ma Krystyna nowe i eleganckie, choć teraz wyglądają okropnie. Więc może ona rzeczywiście...? Nie, to niemożliwe! Ona nie kłamie, czy wujek Tomek tego nie widzi?

— Ach, Misiu, jaką ja noc przeżyłam! — mówi Krystyna szeptem, choć w pobliżu nie ma nikogo — nie zmrużyłam oka ani na sekundę, płakałam i płakałam aż do rana. A rano postanowiłam, że przyjdę i jeszcze raz porozmawiam z Tomkiem.

G*

83

Krystyna energicznym ruchem odrzuciła do tyłu masę jasnych włosów i dokończyła twardo:

— Teraz widzę, że to nie ma sensu. Spotykamy się ze sobą prawie pół roku, skoro przez ten czas nie zdążył się przekonać, jaka jestem naprawdę, to żadne słowa nie pomogą. Masz tu swojego psa i idź do domu. Do widzenia, bardzo się cieszę, że ciebie poznałam, Misiu.

Misia bierze z rąk dziewczyny skórzany pasek, mówi grzecznie: — „do widzenia pani” i odchodzi. Nagle zawraca, biegnie do Krystyny, obejmuje ją z całej siły obiema rękami i szepce z nosem wtulonym w szorstką, kraciastą kurteczkę.

— Ja nie chcę, żebyś sobie poszła, ja ciebie bardzo lubię! I babcia też cię lubi i mamie się podobałaś. Jak chcesz, to teraz jedź do domu, ale wróć wieczorem. Ja coś wymyślę, zobaczysz, ty mnie jeszcze nie znasz, ja mam niezwykłe pomysły, mnie nazywają „dziwadło”, bo ja zawsze postępuję inaczej niż wszyscy!

— Ależ, Misiu... — Krystyna próbuje uwolnić się z uścisku.

— Proszę cię, przyjedź, babcia się ucieszy — błaga Misia — jest jeszcze taka słabiotka.

— No dobrze — mówi ociągając się dziewczyna — może przyjadę, jeszcze zobaczę. Ale tylko do twojej babci.

— Dobrze, dobrze! — cieszy się Misia. Ma już pewien plan i jest pewna, że się powiedzie!

i

ROZDZIAŁ VI

Druga podróż z babcią

To wstrętne cieszyć się z czyjejś słabości i choroby, ale Misia nic nie może poradzić, że jest zadowolona, bo babcia zdrzemnęła się nad książką do nabożeństwa i wcale nie zauważyła długiej nieobecności wnuczki.

Misia wyszczotkowała i wyczesła Bukieta, doprowadziła do porządku swoje ręce i buciki, zdążyła nawet zjeść kawałek ciasta, bo czuła dziwną pustkę w żołądku, i dopiero wtedy babcia obudziła się.

— A to dopiero śpioch ze mnie! — powiedziała patrząc na zegar. — Już po jedenastej. Tomek wstał? — spytała.

— Nie wiem — odparła Misia — ale chyba jeszcze nie, bo w kuchni całkiem porządnie.

Babcia zamruczała coś pod nosem, ale co, Misia nie dosłyszała.

Spostrzegła tylko, że babcia szarpie gniewnie brzeg kołdry i ma bardzo niezadowoloną minę. Trzeba ją rozchmurzyć.

85

Misia układa porządnie różne drobiazgi na stoliku babci, chowa książkę do nabożeństwa do szuflady, okulary do futerału, wyrównuje serwetę na stole, podnosi z ziemi upuszczony papierek. I cały czas zerka na babcię. Pomogło, naprawdę pomogło! Babcia wygładziła zmarszczone czoło, uśmiecha się i mówi:

?— Moja gosposia kochana, moja pociecha najmilsza...

Misia jednym susem wskakuje na fotel, stojący obok łóżka, i pyta:

— Babciu, ty mnie kochasz, prawda?

?— Kocham, pewno, że kocham.

— A zrobisz, o co cię poproszę?

86

Babcia śmieje się i kiwa głową.

— Byle nie o coś takiego, jak wtedy, pamiętasz?

Misia śmieje się razem z babcią, ale troszkę się wstydzi. To było dawno, bardzo dawno i Misia była zupełnie mała. Tak długo dręczyła babcię, by wspólnie odegrały bajkę o śpiącej królownie, aż dopięła swego. Misia była oczywiście królowną, a babcia kolejno — złą macochą, krasnoludkami i królewiczem. Właśnie Misia zapadła w sen po zjedzeniu zatrutego jabłka, a babcia przebrana za krasnoludka zawodziła przejmująco, gdy przez uchylone drzwi do pokoju wszedł sąsiad, pan Baran. Zobaczył czerwoną czapkę z papieru na głowie szanownej pani Kulowej, siwą brodę z postrzępionej włóczki, przyprawiony nos z plasteliny, usłyszał dziwne jęki i wzdychania i wybiegł jak oparzony.

Wrócił po chwili, ale nie sam. Przyprowadził syna, studenta piątego roku medycyny, bo był przekonany, że pani Marianna... no, że starsza pani po prostu dostała bzika!

Wszystko szybko się wyjaśniło, było dużo śmiechu, ale od tego czasu babcia bawiąc się z wnuczką zamykała drzwi wejściowe na zasuwkę. I już nigdy nie chciała być krasnoludkiem.

— Babciu, jak możesz! — Misia czuje się odrobinę urażona — przecież ja wtedy byłam zupełnie mała. Ja chciałam... opowiedz mi, jak to było z mamą, jak mama się ożeniła?

87

— Wyszła za mąż — poprawia babcia i zaraz pyta ze zdumieniem: — A tobie co na myśli? Wciąż tylko o ożenku rozprawiasz...

— Bo to takie ciekawe.

— A może ty sama za mąż się wybierasz, co? — śmieje się babcia — no i czegoż tak patrzysz? Jeszcze parę latek i będzie w sam raz. Dawniej dziewczęta młodo

wychodziły za mąż, moja matka ślub brała w szesnastym roku.

Misia czerwieni się. Co też ta babcia wygaduje! Wychodzić za mąż, jeszcze czego! Chociaż... Andrzej Zawada jeszcze na początku roku powiedział, że się z Misia ożeni, i przez cały miesiąc odnosił jej teczkę do domu.

Teraz co prawda lata za czarną Ewką, ale może mu przejdzie...

Ach, głupstwo, nie o to chodzi, przecież Misia chce namówić babcię do nowej opowieści, jeśli pewien plan ma się udać, musi wszystko dokładnie wiedzieć. Bo tamte historie o babci, o pięknej Małgosi, o nieszczęśliwej Koci jakoś nie bardzo pasują do Krystyny i wujka Tomka.

— Opowiedz, babciu, jak to było z mamą?

— Ano było tak. Nieboszczyk, twój dziadek, umarł w pięćdziesiątym drugim... nie, w pięćdziesiątym pierwszym roku. Hela miała wtedy osiemnaście lat, twoja mamusia szesnaście, a Tomek pięć, bo on, taki wyskrobek, już po wojnie się urodził.

Ciężko nam było, dziadek długo chorował i robiłam co mogłam, żeby jakoś przeżyć.

88

— To wyście już wtedy mieszkali we Wrocławiu?

— Oj, Miśka, Miśka dziurawą masz głowę, jednym uchem wlatuje, a drugim wylatuje!

Mało razy ci opowiadałam, żeśmy do Wrocławia przyjechali w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym i szóstym? W rok po wojnie. Jeździli wtedy po wioskach różni ludzie i namawiali, żeby na Zachód jechać. Obiecywali pracę w fabrykach albo ziemię, domy na własność i wielkie ulgi w podatkach. Twój dziadek był marnego zdrowia od czasu, jak go drzewo w lesie na wyrębie przygniotło i do chłopskiej roboty nie miał sił. Ale przyuczył się trochę ślusarki i na tokarce robić potrafił, no to umyśliliśmy jechać na Zachód. Bo na naszym spłachetku gruntu siedziało nas jak pszczoł w ulu, tylko* że miodu nie było. Bieda aż piszczała. Nie powiem, ci, co obiecywali pracę i ziemię, i domy, nie ciskali piaskiem w oczy. Sprawiedliwieśmy dostali i domek z ogrodem, i pracę, i zapomogę na początek.

— Babciu, ale ty przecież miałaś opowiadać o mamie i o ślubie!

— Poczekaj, nie bądź w gorącej wodzie kąpana, przecie trzeba wszystko po porządku. Więc tak, domek dostaliśmy, dziadek zaczął pracować we fabryce, dziewczuchy chodziły do szkoły, a Tomek... Tomek był maluśki, chorowity i przez to musiałam w domu siedzieć, choć aż mnie ponosiło, żeby do jakiejś roboty iść.

89

— Dlaczego?

— A dlatego, że przez ten rok, kiedym u bauer-ki w Heinebachu robiła, obrzydła mi gospodarka i grzebanie w ziemi i macanie kur. Człowiek nie-wolny nienawidzi swojej pracy, bo mu tylko pot wyciska, a radości żadnej nie daje. Minęło sporo czasu, zanim się spostrzegłam, że u siebie jestem, że dla swoich pracuję, żeśmy tu nie przyjechali, tylko wrócili, i że zostaniemy na wieki wieków amen. Bo z początku to ludzie różnie gadali...

— Babciu, o mamie, o mamie!

— Czekał, będzie i o mamie. Kiedy dziadek umarł, Helka była na pierwszym roku medycyny, na doktora się uczyła. A twoja mamusia jeszcze chodziła do gimnazjum. Ja po śmierci męża dostałam zapomogę, ale że jeszcze nie stara byłam, powiedzieli mi — „do roboty idźcie, na dzieci zapracujecie”. Cóż ja umiałam robić? Sprzątać, prać, gotować... No to wzięli mnie do stołówki fabrycznej, do kuchni. Do tej samej fabryki, w której mój Jasek pięć lat przepracował. Twoja mamusia, dobre dziecko, powiedziała tak:

— Niech Helka dalej się uczy, jest zdolna i będzie z niej dobry lekarz. Zanim

Tomek urośnie, dużo wody upłynie, no to ja zaraz po maturze pójdę do pracy. I tak zrobiła. Skończyła jakieś kursy i w osiemnastym roku dostała posadę w szkole. Cieszyłam się, bo lżej nam było, odkąd Marysia swoją pensję oddawała na dom, ale też i popłakiwałam no-

90

cami, żal mi było dziecka... Inne uczą się, bawią, z kawalerami na tańce biegają, a moja nic ino do pracy, a jeszcze te... korepetycje daje, żeby grosza przysporzyć. Pocieszałam się, że ja i moi bracia i siostry gorszą młodość mieli i na ludzi wyrosli, taka Józka na ten przykład, najmłodsza i najmilsza moja siostrzyczka...

— Moja Motykowa, przyszedłem do was w sprawie Józki.

— Niech pan nauczyciel siadajom o tu, na stołku. A cóż ona, jakiesi breweryje wyprawia?

— Nie, nie, Józka jest pilną, wzorową uczennicą, świadectwa ma najlepsze w klasie. To naprawdę grzech, żeby taka zdolna dziewczyna skończyła szkołę już w tym roku. Józka rwie się do nauki, przyznała mi się, że o niczym tak nie marzy, jak o możliwości dalszego kształcenia się. I właśnie w tej sprawie do was przyszedłem.

Matka stoi pod piecem, rozwiązuje i zawiązuje końce chustki, nie bardzo rozumie, czego chce od niej ten młody, miastowy pan, który dopiero od roku mieszka w wiosce i szkołę prowadzi.

A nauczyciel mówi dalej, gładko, płynnie:

— W Łękawicy jest siedmioklasówka, moglibyście ją tam posłać, a ja już ręczę, że Józka od razu zda do szóstego oddziału.

W chałupie jest mroczno, małe okienka niewiele przepuszczają światła, a jeszcze wiśnia, krzywo

91

rosnąca, przesłania szyby, ale matka i tak wie, że w kącie za dzieżą przykucnęła Józka, słyszy jej przyspieszony oddech, prawie widzi wielkie, ciemne oczy pełne lęku i nadziei.

„Odmieniec! — myśli z gniewem matka -M urzekł ją kto, czy co? Ciagle przecie o tej szkole w Łękawicy gada". — A głośno mówi: — Pan nauczyciel myślom, że my na majontkach siedzimy, a u nas przecie szyścioro dzieci na te parę morgów piochu.

A tu podatki płąć, asekurację płąć, poza wczora do śtrafu nas podały, bo drabiny nie było przy chałupie, od ognia niby. A jeszcze krowa nam odeszła na św. Florianą, bo Józka, ta bezkurcyja, nie dopilnowała gadziny i krówsko się wzdeno od świeżego koniczu.

— Nauczanie powszechne jest bezpłatne — wtrąca nauczyciel.

— Niby tak — przyznaje matka — ale książki trza kupić i zeszyty, przyodziewek lepszy... a ile ona butów zedrze do tej Łękawicy chodząc?! — podnosi głos — przecie to śtyry kilometry w jed-nom stronę.

— Ja będę boso chodzić, matusiu — Józka aż zachrypła z przejęcia.

— Cicho bądź! — opędza się matka od tego głosu i od tych rozognionych oczu. Diasi nadali tego miastowego pana, w głowach dzieciom przewraca, po lasach, po polach z nimi gania, z książek im czyta historie do wiersza ułożone. I żeby choć nabożne, o Matce Przenajświętszej, o świę-

92

tych pańskich, niechta, Motykowa nie byłaby temu przeciwna. Ale przecie Józka nie raz i nie dwa te historie powtarzała. Nauczyciel czyta im o zamorskich krajach, o czarnych, żółtych i czerwonych ludziach, o tym, że we świecie, gdzieś

daleko, żyje się lepiej, łatwiej, bogaciej, że świat nie kończy się ani na Ulanowie, ani na Łękawicy, ani nawet na miasteczku, gdzie urzęduje pan starosta... Czegóż sam, psia jucha, do tych ciepłych krajów nie jedzie, dobrości używać, ino w Ulanowie siedzi i ludziom mętu przyczynia?

— Zastanówcie się dobrze, moja Motykowa, macie jeszcze dużo czasu, pod koniec sierpnia można Józję zapisać. I pamiętajcie, żebyście kiedyś nie żalowali, że dziecku życie marnujecie. — Nauczyciel rzuca te ważne słowa z przejęciem, z powagą, święcie wierzy, że słuszność po jego stronie, że Józka Motykówna powinna skończyć szkołę i frunąc z Ulanowa w szeroki, piękny świat. Ale matka wie swoje.

— A cóż jej ta nauka da? — krzyczy cała rozogniona. — Szkołę skończywszy będzie lepiej krowy doić, zimnioki podbierać, żyto żąć? Żeby chłopakiem była, co inszego, ale ona dziewucha!

?— Józia po szkołach może zostać na wsi albo dostać posadę w mieście, może być nauczycielką, urzędniczką — tłumaczy cierpliwie nauczyciel.

— Niechta pan nie gadają — przerywa mu matka — już ja swoje wiem. Franek od Losków nie chodził to do szkół? Starzy se od gęby odej-

93

mowali, bo ambicje mieli, żeby synek gimna zjum skończył i co? Znaczki na poczcie sprzedaje, wielka mi figura! A Władek od Manderów nawet' i tego nie robi, na wieś wrócił i ze swojom ma-j turom gnój rozrzuca po polu, bo bez trzy lata posady nie mógł dostać. A pan? Pan przecie też uczony, miastowy, nie bez jeden rok nad książkami pan przesiedział i co? Do Ulanowa pan nastał, A b ? z

dzieciakami duka, buty siedem razy zelo-J wane nosi i nawet się nie żeni, bo która by za ta-j kiego bidoka poszła? Ni, ja mojego dziecka na poniewierkę nie dom, w domu ostanie, ładna jest, pracowita, męża dobrego znajdzie i gospodyniom będzie na swoim. A z nauki nic dobrego jej nie przyńdzie, nie!

Nauczyciel rozkłada bezradnie ręce, nie wie, co powiedzieć. Motykowa ma dużo racji, coraz ciężiej o pracę, na wsi bieda, ale i w mieście nie lepiej. Czy on sam nie czekał przeszło rok na tę marniutką posadkę w Ulanowie, byle gdzieś ręce zaczepić? Ale i on swoje wie. Tylko, jak wytłumaczyć kobiecie, że bez nauki człowiek jest słaby i bezradny, że szkoła to klucz, który otwiera nowe światy? Jak to wytłumaczyć Motykowej, niepiśmiennej babie z zabitego deskami Ulanowa? Chce przecież dla swoich dzieci jak najlepiej, pragnie je uchronić przed złym losem.

Nauczyciel już dawno wyszedł, Józka chlipie w kącie za dzieżą, a matka wciąż stoi w tym sa-1 mym miejscu pod piecem, rozwiązuje i zawiązuje

94

końce chustki. O czymś myśli, coś waży w sobie. W końcu mówi.

— Wikta, weź trzy jajka z kumory, ino uważaj, nie rozbij i biegaj po Krakalinę, niech duchem przychodzi.

Krakalina jest sławną na kilkanaście wsi zna-chorką, potrafi zamówić chorobę, ból zęba, nastawić złamaną rękę lub nogę. Leczy też zwierzęta. Jeśli ona Józce nie pomoże, to nikt inny.

Krakalina wsuwa się do izby jakoś bokiem, oczka ma małe, świdrowate, ale omiata nimi całą izbę, widzi wszystko i matkę z wypiekami na twarzy, i Józkę, trzęsącą się jak listek, i Wikte, złośliwie uśmiechniętą, radą z siostrzynego nieszczęścia i nawet małego Jędrka przykucniętego wysoko, na piecu. -

— Krakalino — mówi uroczystym głosem matka — dziewuchę mi cosik urzekło, odczyńcie urok, bo dziecko przepadnie.

I nagle zaczyna płakać, lamentuje jak na pogrzebie, takie było dobre dziecko,

posłuszne, pracowite i co z niej wyrosło? Przecie ma już dwanaście lat, a pomocy, wyręki z niej żadnej! Ciągłem ino nad książką siedzi, czyta i czyta, z tego czytania przecie może oczy stracić!

Krakalina kiwa głową z wielką pewnością siebie, cóż to dla niej uroki odczynić, niejednemu już pomogła i ludzie wiedzą, co potrafi, ale trzy jaja to za mało, słabnie bardzo po odczynieniu, cała siła z niej uchodzi.

95

— Dejcie faszeczkę sadła — mówi skrzypiącym niemiłym głosem — to wam córkę przemienił w tego aniołeczka.

Matka łapie się za głowę! Sadła! Skądże go wziąć, kiedy przednówek brzuch ścisła i już dawl no cała słonina z zabitego wieprzka zjedzona^ Ziemniaki maści się śmietaną albo i tym dobrymi słowem.

Krakalina zawija chustkę i kwapi się ku, drzwiom. Zna swoją cenę, za trzy jajka nie bęł dzie odczyniać!

— Poczekajcie — mówi matka — sadła nie dom, bo ni mom, ale możebyście wzięli kurę? — pyta nieśmiało, a serce podchodzi jej do gardła. Kura warta ze dwa złote, ale dla rodzzonego dzie-j cka nie będzie skąpić, wykosztuje się.

Krakalina rozwija chustkę i składa ją na. skrzyni.

— Palmę wielkanocną macie? — pyta. Matka wyjmuje z za obrazu zeschnięte witki

brzozowe okręcone czerwoną nicią. Jeszcze się na nich srebrzą wątle bażki, przysypane kurzem. Krakalina żąda teraz garnuszka, blaszanej miski, wody, soli i kawałka świeżego chleba. W mig wszystko znajduje się na stole z wyjątkiem chleba.

— Jutro miałam piec — tłumaczy się matkai pokazując stary, dobrze już podeschnięty bochej nek.

— Musi być świeży — mamrocze Krakalina —] inaczej wszystko na nic.

96

— U Derkaczów dziś piekom — wrywa się Wikta.

— To leć, dziecko, leć, powiedz, że to od uroków...

Wikta wraca po małej chwili ze skibką chleba, a za nią Derkaczowa, jej córki i kto tam jeszcze był na drodze i koło chałupy. Zawsze warto popatrzeć, jak Krakalina urok odczynia.

W izbie robi się ciemno, bo okna zasłoniły głowy ciekawych.

' — Marianna, Marysia, Misia

— Zaświećcie gromnicę, posadźcie dziewuch! na środku izby.

Krakalina podpala wierzbowe witki ułożone ? krzyż na blaszanym talerzu, płoną szybko, trzł skają, wyschnięte na pieprz. Leje wodę do garnuszka, sypie sól, wrzuca trzy kawałeczki chleba. Mamrocze coś pod nosem, żegna się i wybija p<l kłony przed rzędem świętych obrazów. Teraz następuje chwila najważniejsza. Krakalina sięga po spalone resztki palmy, rzuca małe węgielki do garnuszka i patrzy pilnie.

— Silny urok ktoś waszej córce zadał — mruczy — pływa, pływa po wierzchu i nie tonie... Zgiń, przepadnij, odejdz skądś przyszło. — Trzykrotnie spluwa za siebie.

Potem każe Józci wypić słoną wodę razem z węgielkami, zjeść rozmiękły chleb i odmówić trzy Zdrowaški.

Józia robi, co jej każą, posłusznie łyka chleb i trzeszczące w zębach węgielki, czuje gorycz spaf lenizny i słony smak na wargach.

Czy tylko od soli wsypanej przez Krakalinę do kubka? Łzy przesłaniają jej oczy, jak przez mgł| widzi błądą, wzruszoną twarz matki, zły uśmiech Wikty (nie

będziesz się już nad wszystkie wyn*<*i siła, oczko w głowie pana nauczyciela!),
kosę oczf Krakaliny. Wprawdzie pan tłumaczył, że wszysl ko, co robi znachorka,
to gusła i zabobony, że ni trzeba się jej bać ani wierzyć, ale czy to wiaj domo,
kto ma rację? Może po odczynieniu JózM

98

naprawdę straci chęć do nauki, ciekawość do książek?

— Zostańcie z Bogiem, com potrafiła, tom zrobiła, a jakby jeszcze złe wróciło,...

— Krakalina nachyla się do ucha matki i coś jej szeptem, coś tłumaczy.

Matka kiwa głową i podaje znachorce białą kurę ze związanymi szmatką nogami.

Odprowadza Krakalinę za próg.

Gapie się rozchodzą, Wikta chowa kubek i blaszaną miskę, mały Jędrak wyłazi z
zapiecka i podchodzi do Józki.

— Cegój płacę? — pyta z ciekawością — ?? to bolało?

Józka kiwa przecząco głową i płacze coraz głośniej.

— Mama — mówi Wikta — ja znam lepszy sposób, żeby z Józki zdjąć urok, darmoście
Kra-kalinie dawali kurę...

— Teraz mi to mówisz? — wybucha matka, ale prędko stygnie — co ty pleciesz,
dziewucho, Krakalina najmocniejsza znachorka w okolicy, a ty co?

— A ja swoje wiem — upiera się Wikta. Na jej bladej, poznaczonej śladami ospy
twarzy znów ukazuje się zły uśmiech.

Och, jakże nie lubi młodszej siostry, jak jej zazdrości urody, gładkich
policzków, gęstych, jasnych włosów. Ona, Wikta, ma twarz szorstką niczym tarka,
rzęsy, brwi wypełzłe i rzadkie, mar-

ne włosięta nijakiego koloru. A przecie razem ni tę ospę chorowały... Nie raz i
nie dwa płakała nocą, cisnąc twarz w poduszkę, nie raz pytała,] czemu Józkę
choroba oszczędziła, a ją zamieniła' w nieszczęśne brzydactwo?

Matka zabiera się do strugania ziemniaków na wieczrę, Wikta przykuca obok i
przekłada, coj sobie umyśliła:

— Organiścina potrzebuje dziewczuchy do dzieci, dwoje naraz urodziła, a sama
słaba jak komar. Niech Józka na służbę do organistów idzie, tam jej szkoły z
głowy wybiją, a jeszcze grosz jaki doj domu przyniesie.

— Do organiścinej? — powtarza z namysłem: matka — na służbę? Jakże to,
gospodarska córka?

— A co — wpada jej w słowo Wikta — Marianna nie na służbie? I nie szkodzi
sobie, do kościoła chodzi w jedwabnych pończochach, pod kołdrą sypia i co dzień
kawę z cukrem pije.

— Nie gadaj byle czego — mówi szorstko Mo-tykowa, bo przecie nie uchodzi, by
dziecko było mądrzejsze od matki — skopki myj, doić już pora.

Jednak długo rozmyśla nad radą piętnastoletniej córki i wieczorem przedstawia
całą sprawę! mężowi.

Ale Motyka ledwo tknie głową poduszki, już zasypia, zharowany całodzienną zwózką
drewna, bo wynajął się z koniem do tartaku. Mruczy więc prawie przez sen:

100

— Twoja głowa, z dziewczuchą rób, co uważasz, pewnie, że o szkołach nie ma i co
marzyć, po co jej szkoła? Żeby się mąż dobry trafił, co za wianem nie patrzy...

— i już chrapie, aż drżą wianki zawieszzone u pułapu, wianki z poświęcanego ziela,
które strzegą od chorób i od pożaru...

— No i tak się stało, poszła twoja ciocia Józia na służbę do organistów zamiast
do szkoły — mówi babcia ocknąwszy się z zamyślenia — ale i tak o nauce marzyć
nie przestała. Późno bo późno, ale tę siedmioklasówkę ukończyła.

— Kiedy? — Misia podnosi zdziwione oczy.

— Już po wojnie. W łękawickiej szkole jakieś kursy dla dorosłych otwarli i Józka pierwsza się zgłosiła, choć już wtedy miała pod czterdziestkę. A i teraz nie straciła ciekawości do wszystkiego co nowe, nauczyła się szyć, na drutach robić, sama we wsi kursy kroju prowadzi. Szkoda, że matka tego nauczyciela nie usłuchała, ale cóż... wtedy inne czasy były, ja sama Józce przekładałam, że lepiej na swojej gospodarce się uczyć, niż cudze kąty za pieniądze wycierać.

— Babciu, a co się stało z Wiktą?

— Z Wiktą? A daj że mi ty spokój z gadaniem, popatrz, która godzina. Trzeba szykować obiad, a ja baję i baję, jakby w domu nie było roboty. Przynieś prędko ziemniaki w koszyku, nóż i miskę z wodą.

101

Nagle babcia klasnęła w ręce.

— A Tomek? Przecie on wcale śniadania nie jadł!

?

— Wujek Tomek dawno pojechał na motorze — wyjaśniła Misia — wtedy jak babcia opowiadała o Krakalinie.

ROZDZIAŁ VII

Nocna zjawia

— Co słyhać u pani Kulowej, już zdrowsza?

Misia przerywa pogoń za kotem, który korzystając z zamieszania skacze na dach kurnika, podchodzi do furki i widzi niziutką, przygarbioną staruszkę, wspartą na lasce.

?— Zdrowsza? — ponawia pytanie staruszka.

— Tak, babcia czuje się znacznie lepiej, zjadła obiad, zażyła lekarstwo, a teraz śpi — recytuje spieszenie Misia i czerwieni się.

Kłamczucha! Babcia wcale nie śpi, kazała Misi wyjść na powietrze, na słońce, bo zrobiła się bardzo ładna pogoda, a sama czyta „Przyjaciółkę”. Ale Misia czuje niebezpieczeństwo, ta nieznajoma staruszka z pewnością chce odwiedzić babcię. Wtedy żegnajcie, babcine opowieści! Misia będzie musiała podać kawę i ciasto i siedzieć cicho w kącie, słuchając nudnej rozmowy.

— Spi? To dobrze, sen jak lekarstwo, najlepiej przespać chorobę — mruczy staruszka i otwiera furkę — nie będę wchodzić, nie będę przeszkadzać — tłumaczy dziewczynce — od-

?03

poczną tylko trochę, zmęczyłam się, ze Stracho-cina kawał drogi.

Zrezygnowana Misia idzie ku drzwiom werandy, ale staruszka protestuje.

— Nie, nie będę wchodzić, posiedzę sobie na ławeczce.

Siada, opiera dłonie na rączce laski, wznosi ku słońcu bezkrwistą, pomarszczoną twarz. Spod czarnej chustki wysuwają się suche, siwe kosmyki, zapadnięte usta bezustannie drgają, jakby coś żując czy smakując, zaczerwienione powieki opadają na wyblakłe, zgaszone oczy. Misia ukradkiem przygląda się nieznajomej staruszce. Nieznajomej? Przecież to pani Pokrowska, babcina przyjaciółka! Ale jaka zmieniona, jaka postarzała, aż trudno uwierzyć, że to ta sama osoba, która w zeszłym roku przynosiła Misi truskawkowe konfitury, pyszne, znakomite konfitury, lepsze nawet od tych, które smaży babcia. Cóż się z nią stało, przecież pani Pokrowska jest tylko o parę lat starsza od babci!

— Ja pani nie poznałam... — zaczyna nieśmiało Misia, jest zmieszana i zawstydzona.

— Nic dziwnego — kiwa głową pani Pokrowska — chorowałam długo, zmarniałam, postarzałam się. Już przywykłam, że mnie znajomi nie poznają. Ale co tam ja, dzięki Bogu, że Marianna nie dała się chorobie, już myślałam, że jedyne go bliskiego człowieka utracę...

Misia dziwi się. Dlaczego pani Pokrowska tak

104

mówi. Ma przecież córkę i syna, i wnuki. Córka mieszka w Warszawie, do matki rzadko zagląda, a syn pływa po morzach, jest marynarzem i te parę tygodni urlopu widać woli spędzać z żoną i dziećmi. Misia wie, że pani Pokrowska mieszka sama w małym domku, to znaczy nie sama, tylko z obcymi, bo ma lokatorów, a sobie zostawiła tylko pokój i kuchnię. Czy i babcia kiedyś...? Teraz, póki wujek Tomek jest kawalerem, mieszkają razem, ale kiedy wujek się ożeni... Misia nieraz słyszała rozmowy rodziców, mama mówiła, że niedługo trzeba będzie domek sprzedać i babcię zabrać do nich, do domu. Na razie babcia jest silna i świetnie sobie radzi sama, ale później... A tata krzywił się i nic nie mówił, tylko machał ręką. Oho, pani Pokrowska coś opowiada, Misia tak się zamyśliła, że nie dosłyszała początku.

...żeby nie Marianna Kulowa, tobym jak ten pies w szpitalu leżała. W każdą niedzielę przychodziła, a czasem i w zwykły dzień, przynosiła mi picie i owoce, i te parę kwiatków, żeby mnie rozweselić...

Prawda, teraz Misia przypomina sobie, że jesienią babcia zaraz po niedzielnym obiedzie śpieszyła do szpitala, nawet mama gniewała się i mówiła, że babcia jeszcze sama zachoruje.

— Jak też to dawniej inaczej bywało — pani Pokrowska patrzy na Misie, ale dziewczynce wydaje się, że bardziej sobie niż jej opowiada.

105

— Pamiętam, mieszkaliśmy w miasteczku, oj-, cieć miał piekarnię, po swoim ojcu ją przejął, a ten znowu po swoim. Dom był stary, duży, roz-j siadły szeroko w ogrodzie, mieliśmy sad i ule, warzywnik i nawet inspekty. Dziadek się ogrodnictwem i pszczelarstwem zabawiał, kiedy interes synowi oddawszy, starości spokojnie dożywał. Wszyscy razem w tym domu mieszkaliśmy, my z rodzicami na dole przy sklepie, dziadkowie na górze, a prababcia w przybudówce razem z ciotkami Agatą i Malwiną. A kiedy mój najstarszy brat ożenił się i dla niego miejsca nie brakło, razem z żoną i małą córeczką przy rodzicach zamieszkał. Ojciec oficynę dobudował, żeby inne jego dzieci, ja, Wandzia, Helenka i Antoś, swoje domy mieli, z rodziną się nie rozłączając. Było nas jak maku, przy dużym stole tylko dorośli zasiadali, my, młodzi, mieliśmy stół osobny, bo miejsca brakowało.

Misia usiłuje policzyć te wszystkie dzieci, ciotki, babcie, ale wciąż się myli.

Cóż to był za dom, co to za rodzina! Tam z pewnością nigdy nie było pusto ani nudno, a kiedy ktoś zachorował, zawsze na miejscu była jakaś ciotka albo siostrzenica, która opiekowała się chorym.

— A dziś? — ciągnie drżącym głosem pani Po-j krowska — dziś młodzi tylko patrzą, żeby na swoje iść, aby prędzej, aby dalej od rodziców, sa-j mi się rządzą, rad nie słuchają, telewizor i pralkę sprawiwszy, myślą, że pana Boga za nogi złapali!

106

A ty, stara matko, żyj, jak potrafisz, rentę masz, dom masz, paczki ci posyłamy, list raz na miesiąc piszemy, kiedyś zachorowała, to na całe trzy dni przyjechaliśmy, czegoż ty chcesz więcej?

Misia patrzy z żalem, jak pani Pokrowska osusza chusteczką zaczerwienione oczy.

Biedna pani Pokrowska, taka stara, taka samotna... Staruszka chowa chusteczkę,

patrzy na słońce, na Bukieta rozciągniętego przed budą, na biało-czarnego Kleksa, który wygrzewa się na dachu, i nagle uśmiech pogłębia zmarszczki na jej twarzy. Dziw nad dziwy, oczy wprost giną w tych fałdach i brzdach, ale Misia widzi, że są pogodniejsze, weselsze...

— Ot, stara baba, rozkleiłam się i gorzkie żale odprawiłam — mówi różnym głosem pani Pokrowska. — Dzieci mam dobre i dbające, córka specjalnie urlop wzięła, kiedy zachorowałam, syn przyjechać nie mógł, bo go w kraju nie było, za to wnuczka mnie odwiedziła, dobra, kochana dziewczuszka.

— Ale pani zawsze taka sama... — wtrąca Misia.

— Cóż robić, moje dziecko, coź robić? Swoje przeżyłam, nie powiem, różnie w życiu bywało i źle i dobrze, ale dobrego więcej zaznałam. Mąż był pocziwy, dzieci udane, a że teraz po świecie się rozbiegły... każdy sobie po swojemu życie układa, dawniej ludzie w czym innym szczęście upatrywali, dziś w czym innym je widzą. Córka studia skończyła, inżynierem jest, w fabryce telewizorów pracuje, w Warszawie. Tu musiałyby

107

nie w swoim fachu robić. Syn znowu od maleńkości miał ciekawość do wody, nic tylko marynarzem chciał zostać. Nie broniłam, bo powiem ci, że wciąż tę biedną Malwinę miałam przed oczami.

— Malwinę?

— To była moja ciotka, siostra ojca, najstarsza. Zdolna była bardzo i uczyć się chciała, na uniwersytet iść, ale rodzice nie pozwolili. Wtedy mało która panna mogła studia kończyć i zawód zdobyć. Nie uchodziło. Więc ciotka Malwina musiała być posłuszna rodzicom i została w domu. Za męża nie wyszła, żadnego nie chciała, choć niejeden o nią zabiegał. Zbrzydła, skwaśniała, nigdy jej nie widziałam uśmiechniętej, widać żal do całego świata nosiła w sercu. Prababkę moją pielęgnowała i siostrę Agatę, potem babcią, a swoją matką, opiekowała się w chorobie i tak całe życie u brata na łaskawym chlebie przesiedziała. A przecież mogło być inaczej.

Pani Pokrowska zamyśla się, dłuższą chwilę" milczy, wreszcie podnosi głowę i mówi z tajemniczą miną:

— Ale i tak Malwina, choć nieszczęśliwa, lepsze miała życie niż druga moja ciotka, jej siostra Agata.

— Czemu?

Pani Pokrowska zniża głos do szeptu, choć poza nimi nikogo na podwórku nie ma.

— Widzisz, moja ciotka Agata zmysły postradała z wielkiej rozpacz, po prostu zwariowała.

108

A śliczna była nawet w chorobie, bo ja już jej innej nie znałam. To nieszczęście stało się jeszcze przed moim urodzeniem. Agata nikomu krzywdy nie robiła, tylko stała się melancholiczką. Zdarzało się, że przez trzy dni ani jadła, ani piła, tylko siedząc na łóżku oczy w portret swego Karola wlepiła i jęczała głucho. Albo z domu uciekała i szła przed siebie, każdego spotkanego pytając, czy Karola nie widzieli. W okolicy wszyscy znali jej wariację, a że dziadka poważali, zawsze ktoś ją do rodziców odprowadzał. Wystarczyło powiedzieć, że Karol wrócił i w domu na nią czeka, a już ptakiem leciała.

— A... a ten Karol? — zająknęła się Misia.

— To był jej narzeczony, przystojny chłopak i zamożny. Rodzice pozwolenie dali, pobłogosławili, wyprawę już Agata miała uszykowaną, gdy nagle on inną poznał, narzeczeństwo miesiąc przed ślubem zerwał i z tamtą się ożenił. A biednej mojej

ciotce to zdarzenie w głowie zamało, najpierw gorączki wielkiej dostała, potem dniami i nocami płakała, w końcu zaczęła z domu uciekać i swego Karolka szukać. Wozili ją rodzice po różnych doktorach, ale nikt jej pomóc nie potrafił, zwariowała i tyle!

Misia czuje zimny dreszcz przebiegający od czubka głowy aż do pięt. Więc od tego można zwariować?! Stracić zmysły, stać się melancholiczką tylko dlatego, że narzeczony zrywa zaręczyny? Boże święty, więc Krystyna... Misia jest

109
śmiertelnie przerażona nagłym niebezpieczeństwem grożącym nowej przyjaciółce. A jeśli Krystyna też...? Nie, nie można do tego dopuścić, na to nie można pozwolić, wujek Tomek nie powinien zrywać zaręczyn. Ona będzie płakać, potem zacznie uciekać z domu, szukać...

I Misia już widzi błąd, rozczochraną Krystynę, w łachmanach, błakającą się po ulicach, zatrzymującą przechodniów, słyszy głuchy, pełen rozpachy głos — „gdzie jest Tomek, czy nikt nie widział mojego Tomka?”

A pani Pokrowska mówi dalej, opowiada półgłosem jeszcze bardziej przerażającą historię.

— Któregoś razu Agata uciekła nocą, nikt jej na drodze nie spotkał, nikt nie odprowadził do domu. Byłam już wtedy dużą dziewczynką i dobrze pamiętam zamieszanie, daremne poszukiwania, rozpacz babci. Dopiero po czterech dniach doniesiono ojcu, że nad rzeką ktoś znalazł chusteczkę i bucik. Ojciec rozpoznał te rzeczy, należały do ciotki Agaty. Szukano długo, zapuszczano sieci, daremnie, nic nie znaleziono. Ale Agata wróciła, widywali ją ludzie o zmierzchu, stojącą w ślubnej sukni na progu kościoła albo też o północy w oknie przybudówki, smutną, płaczącą, z płonącą świecą w dłoni. Powie ktoś — bajdy, a ja przecież sama widziałam, jak portret narzeczonego ciotki Agaty, wyniesiony przez ojca na strych i tam porzucony w kurzu i pajęczynach, jak ten portret pękł i szkło posypało się na

110

wszystkie strony. Było to w pierwszą rocznicę ciotczynej śmierci. Uciekłam z krzykiem, a niańka Eugenia krzyżem świętym się przeżegnawszy, powiedziała, że Agata po swoją własność wróciła. A jak podczas wojny nasz dom od pocisków się zapalił i płonął niby stóg siana, to już nie tylko

111

ja, sam ojciec i inni jeszcze widzieli postać w białym welonie nad ogniem krążącą, a potem znikającą z portretem Karola w objęciach.

Misia trzęsa się jak listek. Co za przerażającą historię opowiada pani Pokrowska! Czy to możliwe, by duch wyniósł z ognia portret? A może to nie był duch, lecz smugi dymu? Ale przecież szkło pękło, wyleciało samo z ramy, pani Pokrowska widziała to na własne oczy. Czy szkło może pęknąć tak sobie, bez przyczyny? U Misi w domu kiedyś nagle pękła szyba w oknie, choć wszyscy siedzieli daleko przy stole. Mama krzyknęła przerażona, a tata tłumaczył, dlaczego tak się stało. Bardzo długo i mądrze mówił o jakimś napięciu szkła, o wysychaniu drewnianych ram. Mama uspokoiła się, ale zaraz rano zadzwoniła do wujka Tomka do pracy, żeby upewnić się, czy wszyscy zdrowi, czy nikomu nic się nie stało.

Pani Pokrowska wstaje z ławeczki, już odpoczęła, pora wracać, ale Misia zatrzymuje ją, nie pozwala odejść.

— Zaraz powiem babci, babcia się ucieszy, niech pani wejdzie — zaprasza gościnnie — napije się pani kawy, mamy świetną

babkę...

Tak, niech lepiej obie starsze panie rozmawiają, niech piją kawę, chwalą ciasto, niech mówią o dzieciach, o wnukach, o pogodzie, o nasionach, kwiatkach, drzewkach owocowych. Misia już woli nudzić się trochę niż mieć przed oczami bladą twarz Krystyny, jej płonące oczy, welon szarpa-

112

ny wiatrem, zdmuchniętą zimnym powiewem świecę, słyszeć dwanaście głuchych uderzeń zegara. Bo przecież duchy zawsze zjawiają się o północy...

Pani Pokrowska już dawno weszła do domu.

Z pewnością zdążyła przywitać się z babcią i usiąść w głębokim, wygodnym fotelu, a Misia wciąż stoi nieruchomo, oczy ma zamknięte i zaciśnięte ręce.

— Co tobie, Miśka, boli cię co? — dziewczynka wzdryga się i otwiera oczy.

No tak, to wujek Tomek wraca ze spaceru, pojechał na motorze jakby nigdy nic, nie martwi się, nie płacze, on, sprawca wszystkich nieszczęść.

— Nie cierpię cię! — krzyczy Misia — jesteś wstrętny, niedobry, nie chcę cię znać! — ucieka do domu, zostawiając wujka całkiem ogłupiałego i nie rozumiejącego, co się stało.

Pani Pokrowska siedziała u babci dość długo, wyszła dopiero o zmierzchu. A Krystyna nie przyjechała.

Misia krążyła między pokojem i kuchnią, podwórzem i ogrodem, nie mogąc usiedzieć na miej-cu, coraz bardziej niespokojna i podniecona.

Wyobraźnia jej pracowała niczym rozpedzony motor, już nic nie było w stanie ochłodzić rozgorączkowanej fantazji dziewczynki, podnieconej opowiadaniem pani Pokrowskiej. W którąkolwiek stronę spojrzała, widziała straszne, przerażające

8 — Marianna, Marysia; Misia

obrazy, obłąkaną z rozpacz Krystynę, wujka Tomka gnębnego wyrzutami sumienia, płaczącą babcię.

Była też i inna wersja. Bo przecież to Krystyna kazała wujkowi odejść, powiedziała, że nie chce go więcej widzieć. Czy mężczyźni mogą zwariować z rozpacz? Chyba tak, w sąsiedztwie Misi mieszka pewien człowiek, który się bardzo dziwnie zachowuje. Dzieci wyśmiewają się, ilekroć wychodzi na ulicę z lalką na ręku, z dużą, pięknie ubraną lalką. Głaszcze ją, przemawia, czule jak do żywej osoby, pokazuje kwiaty, psy,] ptaszki. I Misia kiedyś się śmiała, to było naprawdę zabawne, ale przestała się śmiać, kiedy mama wytłumaczyła jej, że człowiek ten jest bardzo chory, że przeżył wielką tragedię, stracił w nieszczęśliwym wypadku jedyną córkę i jest I obłąkany. Zdaje mu się, że lalka jest jego dzieckiem, że żyje i czuje, dlatego przemawia do niej, prowadzi na spacer, głaszcząc i pieści. Więc co będzie, jeśli wujek Tomek straci zmysły?! Babcia tego nie przeżyje! I tak już dość gryzie się i martwi przez niego.

I Misia postanawia nie dopuścić do nieszczęścia. Wprawdzie miała inne plany, ale skoro Krystyna nie przyjechała, trzeba zacząć działać jakoś inaczej. Żeby tylko wujek Tomek znów gdzieś nie poleciał na cały wieczór. Wtedy wszystko na nic.

Ale nie, zjadł kolację razem z babcią i Misia, otworzył telewizor i obejrzał sumiennie dziennik

114

i program rozrywkowy. Co robił potem, Misia nie wiedziała, o dziewiątej musiała iść do łóżka. Ale pewno dalej oglądał film, bo do małego pokoiku przy kuchni, gdzie dziewczynka miała swoje postanie, dolatywały stłumione dźwięki muzyki i

niewyraźne słowa.

Misia obmyśliwszy starannie swój plan, przygotowała wcześniej potrzebne rekwizyty i ukryła je w łóżku. Sprawdziła też, czy drzwi na strych są otwarte i czy małe okienko łatwo się otwiera. Wszystko było w porządku.

Teraz najważniejsze to nie zasnąć, wytrzymać, aż wujek Tomek zgasi telewizor,, powie babci „dobranoc” i pójdzie na górę do swego pokoju. I jeszcze trochę poczekać, aż się usłyszy lekkie pochrapywanie i świszczący oddech, co oznacza, że babcia zasnęła i śpi twardo.

Na szczęście babcia ma mocny sen, byle skrzypnięcie drzwi jej nie obudzi, Misia nieraz to wypróbowała.

Dziewczynkę ogarnia senność. Pokusa, by pozwolić głowie opaść na poduszkę, a ręką naciągnąć kołdrę na nos, jest tak wielka, że Misia bohatersko siada na łóżku i szczybie się z całej siły w udo.

Która może być godzina? Chyba już po dziesiątej, bo przecież marudziła długo w łazience, rozbierała się powoli i wyjątkowo starannie układała swoje rzeczy, by zyskać na czasie. Dziesiąta to dla Misi bardzo późno, ale dla jej planów dzie-
«*

115

cinnie wczesna. Jednak o tym, by mogła wytrzymać do północy, nie ma mowy! Nareszcie! Słychać jakiś ruch w pokoju babci, stuk odsuwanej krzesła, skrzypnięcie drzwi. Widać film był nudny i wujkowi nie chciało się oglądać go do końca.

Teraz trzeba jeszcze przeczekać wieczorne mycie wujka, dać mu trochę czasu na zaśnięcie i można przystąpić do dzieła.

Nigdy jeszcze minuty nie płynęły tak wolno, Misi zdawało się, że wujek nigdy nie wyjdzie z łazienki, że babcia nigdy nie zaśnie. A tu powieki coraz cięższe, zmęczone oczy same się zamykają, głowa opada to na jedno, to na drugie ramię.

Misia prawie usypia na siedząco. Nareszcie! Skrzypią schody, wujek Tomek idzie na górę. Po dłuższej chwili Misia bierze przygotowane prześcieradło, świecę i zapalki, bezszelestnie uchyla drzwi. U babci światło zgaszone, słychać równy, trochę chrapliwy oddech. Zasnęła, nareszcie zasnęła! A więc do roboty.

Dziewczynka ostrożnie stawia nogę na stopniu, drewniane schody okropnie skrzypią, ale gdy stąpa się pomału, przy samej ścianie, wtedy odgłos kroków jest prawie niedosłyszalny.

Już minęła pięterko, za drzwiami pokoju wuj- | ka Tomka panuje cisza, widać położył się i zasnął. Teraz ostrożnie, cichutko dalej, Misia ma do pokonania jeszcze osiem stopni, potem trzeba otworzyć drzwi od strychu i dostać się do okienka.

116

Misia trochę się boi, czy potrafi wyjść przez małe okno i zeskoczyć na znajdujący się pod nim balkon, odległość wprawdzie nie jest wielka, ale zawsze to wyczyn. Dziewczynka pociesza się tym, że umie łaźić po drzewach i nieraz zeskakiwała z gałęzi wprost na ziemię. Potem już wszystko pójdzie gładko.

Misia rzuci na siebie białe prześcieradło, zapali świecę i stanie w uchylonych drzwiach balkonu. Wujek zawsze zostawia na noc otwarte okno, nawet w zimie! Będzie jęczeć i zawodzić, będzie wzywać wujka Tomka, aż on domyśli się, że to duch Krystyny przybywa, by ostrzec go przed nierozważnym krokiem. I wszystko będzie dobrze, trzeba tylko, by wujek zrozumiał, do czego może doprowadzić zerwanie.

Drzwi udało się otworzyć bez hałasu, ale zaraz potem Misia potknęła się o stare

krzesło. Stuk nie był głośny. Mimo to dziewczynka wstrzymała oddech z przerażenia. Na szczęście w domu panowała zupełna cisza, nikt nie usłyszał podejrzanych odgłosów na strychu.

Teraz prędko do okienka. Misia zarzuca sobie prześcieradło na ramię, w lewej ręce ścisza kurczowo świecę i zapałki, prawą przysuwa pustą skrzynkę, na której musi stanąć, by wygodniej dosięgnąć okna.

Jak łatwo poszło! Misia, wychylona do połowy ciała, widzi pod sobą szarą płaszczyznę balkonu z lekka oświetloną księżycem, gdy nagle czuje, że coś ją łapie za nogi.

117

Matko święta, co to takiego!?! Może naprawdę duch?! Ale nie, to ktoś bardzo silny ściąga ją z okna, stawia na ziemi. Misia słyszy pół gniewny, pół rozbawiony głos wujka.

— Co ty wyprawiasz, wariatko? Dlaczego nie śpisz? Co ma znaczyć ta cała heca? I wtedy Misia wybucha płaczem. Ryczy głośno nie bacząc, że babcia może obudzić się i usłyszeć. Płacze, bo jej plan się nie powiódł, bo wujek nigdy się nie dowie, co grozi biednej Krystynie, bo... bo wszystko stracone.

— Nie płacz — słyszy łagodny głos — uspokój się i powiedz, co to wszystko znaczy? Prześcieradło, świeca... czy miałaś zamiar udawać duszę pokutującą?

— Bo ja... bo ciotka Agata... — szłocha Misia — bo pani Pokrowska opowiadała... Wujek bardzo stanowczo bierze siostrzenicę za rękę i wyprowadza ją ze strychu. Otwiera drzwi swego pokoju, mówiąc:

— Wejdz, bo zmarzłaś. Wskakuj na tapczan i mówię ci, przestań ryczeć. Jeśli się nie uspokoisz, jutro o wszystkim powiem twojej mamie.

Jeszcze kilka chlipnięć, jeszcze potrzebna wuj-kowa chusteczka i wreszcie dziewczynka uspokaja się. Powtarza historię nieszczęśliwej Agaty, opowiada o spotkaniu z Krystyną, o swoich obawach i o genialnym planie, który nie powiódł się z powodu głupiego krzesła. Wujek słucha spokojnie, czasem uśmiecha się, a gdy Misia opowiada

118

o przygodzie Bukieta i spotkaniu z Krystyną, wstaje nagle i podchodzi do okna.

— Więc mówiła, że przyjedzie? — pyta cicho nie patrząc na Misie.

— Tak, obiecała mi, tylko że... widać nie mogła. A może zachorowała ze zmartwienia?.

119

Wujek odwraca się twarzą ku Misi i dziewczynka widzi brzydki, ironiczny grymas. To ma być uśmiech, ale jakiś nieprzyjemny, gorzki...

— Nie martw się — mówi wujek szorstko -dzisiejsze dziewczęta nie chorują ani nie wariują j z powodu zerwania. Zapewniam cię, że Krystyna jest zdrowa i normalna, jutro pójdzie na wykłady, a wieczorem do kina albo na spacer.

— Ale przecież ciotka Agata... — Misia próbuje przekonać wujka o słuszności swoich obaw, a przy tym żal jej, że nie zdążyła odegrać swojej wielkiej sceny. To byłoby takie niezwykle!

— Ciotka Agata żyła pięćdziesiąt lat temu — przerywa wujek — wtedy pannom nie pozostawało nic innego, jak tylko wyjść za mąż. Dziś jest zupełnie inaczej, Krystyna skończy studia, zdobędzie zawód, stanowisko i jeśli nawet nie wyjdzie za mąż, w co wątpię, ułoży sobie życie całkiem dobrze i szczęśliwie. A teraz marsz do łóżka, bo jestem śpiący, a jutro muszę wstać o szóstej jak co dzień.

Misia posłusznie ześlizguje się z tapczanu, idzie ku drzwiom, ciągnąc za sobą długie, białe niepotrzebne już prześcieradło. Nagle zatrzymuje się.

— Wujku — pyta — czy ty naprawdę sądzisz, że Krystyna chce wyjść za ciebie tylko dlatego, że dużo zarabiasz?

Wujek Tomek czerwieni się i popycha Misie ku drzwiom.

120

— Przestań! To nie twoja sprawa — mówi gwałtownie — bardzo cię proszę, nie pchaj nosa w cudze sprawy. Jesteś za mała, żeby to zrozumieć, ale jeśli jeszcze raz wspomnisz o Krystynie...

Misia uśmiecha się filuternie, wcale nie groźny jest ten wujek, nawet wtedy gdy krzyczy.

— Ty musisz bardzo lubić pannę Krystynę — mówi z przekonaniem — nie złościłbyś się tak, gdyby ci było wszystko jedno!

Potem cicho, ale szybko zbiega po schodach. Wprawdzie wujek Tomek jest dobry, ale lepiej nie ryzykować dalszego pozostawania z nim sam na sam.

ROZDZIAŁ VIII

Z mamą to zupełnie inna sprawa

— Babciu, może mi nareszcie wytłumaczysz, dlaczego wujek Tomek jest taki?

Babcia odrywa wzrok od koszulki, do której przyszywa guzik, i patrzy ze zdumieniem na wnuczkę.

— To znaczy: jaki? — pyta nie rozumiejąc, o co chodzi,

— Taki... niewierny Tomasz!

— Tak cię to gnębi? — uśmiecha się babcia.

— A tak! Bo mama mówiła, że wujek nie może się zdecydować, i była zła, a tata powiedział, że jak ktoś raz się sparzy, to...

— Na zimne dmucha — kończy babcia — ma rację twój tatuś. No dobrze, opowiem ci, bo widzę, że za chwilę pękiesz z ciekawości. Poskładaj przybory do szycia i wstaw koszyczek do komody. Dobrze. Więc słuchaj. Trzy lata temu jeden kolega poznał Tomka ze swoją znajomą. To była śliczna dziewczyna, ta Baśka, grzeczna, uprzejma, przymilna. Tomek zakochał się jak wariat! Nawet trochę zła byłam, bo prawie go

122

w domu nie widywałam, na darmo szykowałam obiady i kolacje, wracał późno, jednego popołudnia nie mógł wytrzymać bez swojej Basiuni. A musisz wiedzieć, że Tomek już wtedy bardzo dobrze zarabiał, zdolny był i pracowity. W dodatku dostał sporo pieniędzy za wynalazek, wpłacił na mieszkanie spółdzielcze, sprawił motor, ubrał się elegancko. Już termin ślubu był ustalony, Tomek kupił obrączki, ciemne ubranie, nawet załatwił w Orbisie dwa miejsca na wycieczkę do Budapesztu. Aż tu nagle katastrofa! Ślub odwołany, wycieczka odwołana, Tomek sprzedał obrączki, ubranie oddał do komisji, a sam nabrał wody w usta i nic nie mówi. Tyle tylko z niego wyciągnęłam, że się rozmyślił. Ale dlaczego? — pytam. Milczy. Dopiero od kolegi, od tego Jurka, co mieszka na Swojcu, dowiedziałam się prawdy. Tomek przypadkiem posłyszał rozmowę Baśki z koleżanką. I zaraz potem zerwał zaręczyny. Bo ona mówiła tak: „Założyłam się, że złapię Tomka. I wygrałam! Wprawdzie Tomek nudzi mnie śmiertelnie, ale ma forszę, motor, będzie miał mieszkanie, dobrze zarabia, więc nie będę musiała pracować, pobawię się, pojeżdżę po świecie. Czy źle wyjdę na małżeństwie z tym prostaczkiem?”

Więc nic dziwnego, że Tomek uciekł od takiej narzeczonej! I że teraz wciąż boi się, że trafi na podobną? Com mu się natłumaczyła, że na świecie więcej dobrego niż złego, że nie można tak

czarno patrzeć — on wciąż swoje powtarza, I teraz też zdaje się nic nie wyjdzie ze znajomości z panną Krystyną. A szkoda, bo to dobra dziewczyna i do Tomka bardzo przywiązana.

— Szkoda — mówi cichutko Misia. Odchodzi do swego kącika, bierze na ręce Klusia i szepce wprost w kosmate ucho:

— Biedny wujek Tomek, bardzo mi go żal. I Krysia biedna. Co zrobić, żeby wujek przestał być „niewiernym Tomaszem”? Jak przekonać wujka, że panna Krystyna lubi go naprawdę i będzie dobrą żoną? Bo jestem pewna, że tak jest! Ona mi się bardzo podoba i już!

Misia martwi się, że dziś po południu przyjedzie tata i zabierze ją do domu. Może już nigdy nie zobaczy Krystyny? Nie wie nawet, gdzie ona mieszka. Na Sępolnie. Ale Sępolno to duża dzielnica. Trudno, dziś już nic nie da się zrobić. Wujek pojechał do pracy, panna Krystyna jest na wykładach, a zresztą może rzeczywiście Misia nie powinna wtykać nosa w cudze sprawy? Może jest za mała, by zrozumieć postęпки dorosłych?

Ale przecież wujek Tomek nie jest „cudzy”, jest swój, bliski i kochany! A Krystyna? Choć nieznajoma, budzi w Misi sympatię i współczucie. Dobra, miła, ładna i taka... smutna. Gdyby Krystyna wyszła za mąż za wujka Tomka, byłaby dla Misi — ciotką! Należałaby do rodziny...

Odkrycie tego prostego faktu rozdmuchuje przygasłą na moment energię. Nie, Misia nie

opuści ręk, właśnie że wetknie nos w cudze sprawy, i to tak skutecznie, by wujek ożenił się z Krystyną!

— Chyba mam prawo wybrać sobie ciotkę? — zastanawia się Misia i dochodzi do wniosku, że już wybrała. Będzie nią Krystyna albo... albo żadna! Tylko jak do tego doprowadzić?

Misia kłęką na fotelu, opiera się o parapet okna, patrzy na zalany słońcem ogródek. W ogródku harcu ją wróble, pod jabłonką przycupnął Kleks i patrzy łakomym wzrokiem na świergocące mu nad głową ptaszki, a minę ma taką, jakby od trzech dni nic nie jadł. Na klombie, gdzie babcia jeszcze przed chorobą posiała maciejkę, rezedę i nasturcję, biała kura rozgrzebuje ziemię i dziobie z zapałem. Jak ona weszła, przecież furka zamknięta i płot bez dziur?

Kiedy indziej Misia pobiegłaby natychmiast do ogrodu, wymachując rękami i krzyząc „a sio!”, przepędziłaby wstrętne łakomczucha, może nawet zagrabiłaby ślady bezwstydnego rabunku, ale dziś wcale nie interesuje się kurami. Ma ważniejsze sprawy na głowie.

— A może by zadzwonić do wujka, do pracy — дума — i powiedzieć, że Krystyna zachorowała, że w gorączce mówi tylko o nim? Wujek by się wzruszył, pojechał do niej i pogodziliby się.

Nie, nie, to na nic! Po pierwsze, skąd Misia mogłaby wiedzieć o chorobie Krystyny, po drugie, wujek nienawidzi, kiedy go odrywają od pra-

?? Zawsze jest zły, gdy mama telefonuje, a po trzecie, Misia wcale nie zna numeru telefonu i nie ma skąd zadzwonić.

A może zrobić inaczej? Może zawiadomić Krystynę, że wujek miał wypadek i chce przed śmiercią raz jeszcze zobaczyć ukochaną, przeprosić ją i pożegnać? Krystyna przyjechałaby z pewnością, może nawet taksówką?

Misia jak przez mgłę przypomina sobie podobną scenę, już gdzieś to widziała...

No tak, w telewizji! Pan Michał uciekł z klasztoru, by pożegnać umierającego przyjaciela, i wcale się nie gniewał, gdy wyszło na jaw, że pan Zagłoba go nabrał, że Ketling zdrowy. I już nie wrócił do klasztoru, tylko pojechał na wojnę.

Tak, to świetny pomysł i wypróbowany. Ale w jaki sposób zawiadomić Krystynę, skoro nie zna jej adresu? Okropność! Misia wzdycha tak ciężko, że babcia patrzy na wnuczkę z niepokojem i pyta:

— Co ci jest, Misiuniu, boli cię co? A możeś ty głodna?

Tak jakby człowiek nie miał humoru tylko z tych dwóch powodów!

— Nie siedź w domu, dziecińco, korzystaj ze słońca. Jutro o tej porze będziesz już w szkole.

Misia obrzuca babcie spojrzeniem pełnym zawodu. Nawet ona jej nie rozumie. Ale wychodzi posłusznie. Co za różnica martwić się w pokoju czy w ogrodzie?

126

Misia snuje się między świeżo pobielonymi drzewkami niczym dusza pokutująca, nie zwraca uwagi na nabrzmiałe sokami pąki, które lada moment zakwitną, na zielone, soczyste źdźbła trawy. Nawet kępki fioletowych kwiatków, wychylających się spod płotu, nie są w stanie jej rozchmurzyć. Więc co z tego, że jest wiosna, że kwitną fiołki, że niziutka, szeroko rozsiadła wiśnia lada godzina okryje się pachnącym płaszczem, uszytym z mnóstwa białych kwiatków? Co z tego?!

— Dawniej jednak było lepiej — dochodzi do wniosku Misia — babcia posłałaby swatów do rodziców Krystyny i wujek Tomek nie miałby nic do gadania! Tak było znacznie lepiej, mimo że ludzie nie znali radia, telewizji ani telefonu.

Misia wraca na podwórko, siada na ławeczce przed domem, bierze na ręce mruczącego Kleksa.

— No dobrze, a Małgosia sołtysówna, a panna Kocia? — zastanawia się. — One też nie miały nic do gadania i jak na tym wyszły? A narzeczony ciotki Agaty? Zrobił, co chciał, i unieszczęśliwił narzeczoną. Ale z kolei babcia była zadowolona...

Więc może to jest po prostu tak jak z loterią? Kupujesz pięć losów i wszystkie są puste, a za chwilę ktoś inny kupuje jeden i wygrywa samochód.

To wszystko jest zbyt trudne, zbyt skomplikowane, Misia już wcale nie jest pewna, kiedy było lepiej, teraz czy dawniej?

127

Zaraz, chwileczkę, dziewczynka coś sobie przypomina... przecież babcia zaczęła jej opowiadać o mamie i nie skończyła, coś jej przeszkodziło... Ale co? Prawda, babcia wtrąciła historię o cioci Józi, która chciała się uczyć i nie mogła. A potem był obiad. Ach, to babcine nietrzymanie się tematu! Choć Misia musi przyznać, że historia o znachorce była ciekawa. Misia nigdy w życiu nie widziała odczyniania uroków. Ale przecież

128

Misia jako malutkie dziecko nosiła na rączce bransoletkę z czerwonych koralików. Dziewczynka tego nie pamięta, ale w domu jest kolorowe zdjęcie, przedstawiające tłustego niemowlaka, to znaczy Misie, i widać wyraźnie czerwone paciorki na grubiotkiej rączce. Spytała kiedyś tatę o te koraliki. Zaśmiał się i powiedział lekceważąco:

— To takie stare przesady twojej babci i twojej mamy. Zawiązały ci na rączce czerwoną bransoletkę „od uroku”, ale kiedyś nitka pękła, koraliki się rozsypały i byłabyś je połknęła, gdyby mama nie zauważyła, że pchasz coś do buzi.

„Od uroku”... wtedy Misie bardziej zainteresowała możliwość połknięcia koralików, to było dziwne i śmieszne, ale teraz...

No, już Klusio usadowiony na jednej poręczy fotela, Balbina na drugiej. Misia siedzi wygodnie, podwinawszy nogi pod siebie. Bardzo nie lubi, kiedy stopy dyndają w powietrzu.

— Opowiadaj, babciu, opowiadaj!

— Twoja mamusia późno wyszła za męża, miała już dwadzieścia siedem lat, dawnymi czasy mówiono by o niej „stara panna”. I powiem ci, że martwiłam się o moją Marysię, myślałam, młodość minie i dziewczyna sama zostanie. Ale ona miała narzeczonego, tylko postanowili, że pobiorą się dopiero wtedy, gdy staną na własnych nogach.

Helka inaczej zrobiła, wyszła za męża jeszcze na studiach, bidne to było jak mysz kościelna. Ani mieszkania własnego, ani garnka, ani co

9 — Marianna, Marysia, Misia

w garnek włożyć. Jej mąż też z jedną walizką i się sprowadził. Mieszkali na górcie w pokoju Tomka, pomagałam im, zwłaszcza kiedy dziecko przy- i szło. I Marysia robiła, co mogła. Ale cóż, powiadają ludzie: „Bida drzwiami, szczęście oknami”. Z początku niby dobrze żyli, uczyli się oboje, i dziecko wozili do żłobka, bo ja jeszcze pracowałam wtedy i nie mogłam się wnukiem zajmować, i potem coś się zaczęło psuć. No i rozeszli się na moją zgryzotę, na mój wstyd. Misia kręci się niecierpliwie. Dobrze wie, że i ciocia Hela rozwiodła się z mężem, że wyszła drugi raz za męża. Ewunia, rówieśnica Misi, ma brata i starszego o dziewięć lat. Bo Rysiek jest synem i cioci z pierwszego małżeństwa. No, nareszcie, babcia nawzdychała się nad Helą i przypomina sobie, że miała mówić o mamie.

— Marysia napatrzyła się na to „szczęście” Helczyne i powiedziała, że za mąż nie wyjdzie, pokąd nie dostaną mieszkania, nie kupią mebli i jako tako gospodarstwa nie urządzią. A zresztą i i mnie miała na myśli, pracowałam ciężko, Tomek do powszechniaka chodził, Heli też trzeba było pomóc. Dopiero jak Tomek zdał do Technikum, dostał stypendium, a siostra dobrą posadę? otrzymała, dopiero wtedy moja Marysia pomyślała o sobie.

— Babciu, ty mówisz i mówisz, a ja wciąż nie wiem o najważniejszym! Skąd mama wzięła narzeczonego? Czyś ty swatów posyłała?

130

— Co ty pleciesz, dziecko! Dziś już nikt nikogo nie swata, a zwłaszcza w mieście... Ot, poznają się młodzi, polubią i żenią za zgodą rodziców albo i bez niej.

— A mama? Jak mama tatkę poznała?

— Aleś ty niecierpliwa, Miśka! To było tak: Twoja mamusia dostała skierowanie na wczasy i pojechała nad morze. Do Międzyzdrojów.

...Dzień jest piękny, ale chłodny, na plaży pustawo, od morza wieje zimny wiatr i nikt się nie kąpie. Niebo niebieskie, morze granatowozielone, przybrane białą koronką piany, mewy podlatują z piskiem, mają różowe nóżki i długie, ostre dzioby. Jest cudownie.

— Przepraszam panią, która godzina? Stanął mi zegarek.

— Za dziesięć jedenasta.

— Dziękuję. Pani zawsze taka samotna?

— Dopiero wczoraj przyjechałam.

— To tak jak ja. A gdzie pani mieszka?

— We Fregacie.

— No, to mieszkamy razem! Ale że ja nie zauważyłam pani przy śniadaniu...

— Zeszłam bardzo wcześnie, jadalnia była prawie pusta. Chciałam jak najprędzej

morze zobaczyć.

— Pani pierwszy raz nad morzem?

— Tak.

9»

131

Morze szumi, mewy popiskują, snuje się rozmowa zwyczajna, leniwa, ale miła. Po chwili wiedzą o sobie prawie wszystko. Że oboje przyjechali z Wrocławia, że mieszkają przy rodzinach, że ciężko pracują. Że lubią wycieczki w góry, książki, francuskie i włoskie filmy, psy i dzieci. Na obiad wracają razem. A potem przez całe dwa tygodnie chodzą na plażę, do kawiarni, na molo i dobrze im ze sobą. Marysia patrzy z podziwem na Jurka, podoba się jej, że taki duży, silny, zaradny. Jurek z upodobaniem przygląda się Marysi, jest drobna, szczupła, ma ładne, niebieskie jak niebo oczy, miły uśmiech i zgrabne, opalone nogi. Dwa tygodnie mijają szybko, trzeba pożegnać wczasy, Międzyzdroje, morze... Idą do lokalu, na dansing, tańczą... Szkoda, że urlop się kończy, ale to nic, we Wrocławiu spotkają się znowu, wymienili przecież adresy. Wracają do pensjonatu, noc jest ciepła, świeci księżyc, idą przytuleni. Czują się lepsi, potrzebni sobie.

Mijają tygodnie, miesiące, jest dom, praca, obowiązki, ale co kilka dni na Rynku, pod pomnikiem Fredry, Jurek czeka na Marysię. Idą na spacer, do kina, czasem w niedzielę Jurek przyjeżdża do Wojnowa.

— Coś często pan Jerzy do nas zachodzi... — próbuje wy badać sytuację matka — chyba nie dla mnie taki szmat drogi wędruje.

— Oj, mamó!

— Dawno się znacie?

132

— Dwa lata.

— Dwa lata?! Bój że się Boga, dziewczyno, dwa lata z nim po kinach ganiasz, po kawiarniach wysiadujesz i nic?!

— A co ma być?

— Jak to co? Jak chłopak tyle czasu za dziewczyną chodzi, to wiadomo, co ma być: małżeństwo.

— No właśnie... już dawno chciałam mamie powiedzieć, tylko tak... jakoś nie układało się. Mamy zamiar wziąć ślub.

— Jakże to, ślub? To on nie wie, co powinien zrobić? Nie nauczony, że ma do matki przyjść

133

i powiedzieć: tak a tak, wasza córka mi się ulubiła, zenić się chcę, dajcie pozwolenie i błogosławieństwo? Ładnie to tak, ukradkiem, w tajemnicy i nagle: — „mamy zamiar wziąć ślub”!

— Oj, mamó, mama jeszcze wciąż w dawnych czasach żyje, dziś ludzie się kochają, pobierają, i na tym koniec. Kto dziś z oświadczynami przychodzi? Może jeszcze i z bukietem!

— Jak to? To ja, matka, nie mam prawa wie-* dzieć, komu dziecko oddaję? A może on łajdak jakiś, pijak, awanturnik?

— Mamó, znamy się dwa lata, Jerzy jest spokojny i dobry, pracowity i oszczędny. Ja też nie głupia podfruwajka, co na piękne oczy polecie, dobrze go poznałam i zastanowiłam się. Nic mamie nie mówiłam, bo do ślubu jeszcze daleko. Jurek dostanie mieszkanie służbowe, ale dopiero za ja- \ kies dwa lata. Do tego czasu musimy odłożyć na meble, na pościel, garnki, ja nie chcę jak Helena siedzieć

mamie na karku, a Jurek nie ma ojca
i też musi matkę utrzymać.

Ano córka ma rację, zawsze taka była, rozsądna, zaradna. Tylko nieładnie, że
niby zaręczona, I a zaręczyn nie było, nawet pierścionka nie nosi.

Marysia śmieje się z matczynych uprzedzeń, ale przy najbliższym spotkaniu
tłumaczy Jurkowi.

— Co ci szkodzi, zrób to dla mnie. Ja wiem, że to głupstwa, stare
przyzwyczajenia, ale skoro mamie tak na tym zależy...

134

Jerzy prycha gniewnie, śmieje się, wykręca, ale w następną niedzielę przychodzi
w ciemnym ubraniu, wręcza matce trzy goździki owinięte w celofan i mruczy coś
pod nosem, co ma przypominać oświadczyń.

Babcia jest w siódmym niebie, nakrywa stół, wyciąga z ukrycia domowej roboty
nalewkę na wiśniach i unosząc w górę kieliszek, mówi:

— Daj wam Boże, moje dzieci, szczęście i powodzenie, i zgodę małżeńską,
potomstwo zdrowe i długie życie. A kochajcie się i szanujcie nawzajem,
błogosławię was na tę nową drogę i życzę wszystkiego, co najlepsze, amen.

Marysia uśmiecha się, ale czuje ciepło pod powiekami, zerka na Jurka i on jest
jakby wzruszony, nerwowo poprawia węzeł krawata. Tylko Tomek śmieje się w kułak,
taki głuptas, jego jeszcze wszystko śmieszy, nawet to, że babcia popłakuje
całkiem otwarcie...

Jakie to wszystko proste, a Misia spodziewała się nadzwyczajnej historii. Mama
pojechała na urlop, ojcu stanął zegarek i tak się poznali. To mogło się zdarzyć
wszędzie, w parku, w kinie, w sklepie. Ale swoją drogą to dziwne... gdyby mama
dostała wczasy gdzie indziej, nie spotkałaby nigdy tatusia. Albo tatuś mógł
usiąść na plaży o sto metrów dalej i inną panią spytać o godzinę. I nie ożeniłby
się z mamusią.

135

To całkiem jak z tą skręconą nogą Misi. Gdyby zeszła normalnie po drabinie, nic
by się nie stało, ale ona uparła się, że musi zeskoczyć na stertę słomy, tak jak
chłopcy. No i skoczyła, ale tak niezgrabnie, że wykręciła nogę. Misia wzrusza
ramionami, co jej chodzi po głowie!? Przecież skręconej nogi nie można
porównywać z małżeństwem. Skręcona noga to ból i kłopot, i nieszczęście, a
małżeństwo wcale nie. Chociaż...

Taka panna Kocia wolałaby z pewnością złamać obie nogi niż wyjść za pana
Michalskiego. Tatuś też nieraz narzeka, mówi, że kiedy był kawalerem, miał
spokojną głowę, a teraz nic tylko kłopoty i kłopoty.

Do licha! Misia ma dość tych poważnych spraw. Trzeba wyjść, pobawić się z
Bukietem albo z Kleksem, spróbować zwabić starą kotkę Białkę. Ale to się z
pewnością nie uda, kocica jest dzika i zawsze chodzi swoimi drogami. W dodatku
drapie. Przecież dziś poniedziałek. O piątek, a najpóźniej o szóstą przyjedzie
tata i trzeba będzie wracać do domu.

Misia zrywa się, biegnie do drzwi i nagle...

ROZDZIAŁ IX

Nie tylko babcia...

?— Czemu tak dziwnie patrzysz? — śmieje się Krystyna. — Nie poznajesz mnie?
Przecież obiecałam, że przyjadę. Wczoraj... wczoraj nie mogłam, więc przyszłam
dziś, bo wykłady odwołane.

— Ale dziś nie ma wujka! — wybucha Misia. — Jest w pracy!

— Właśnie dlatego przyszłam — mruczy Krystyna, zdejmując kraciatą kurteczkę i

puka do pokoju babci.

Babcia rozpromienia się.

— Witam, witam, jak to ładnie, że panna Krystia o mnie nie zapomina. I po cóż te wydatki! — protestuje, ale bierze z rąk dziewczyny pęk kremowych, słodko pachnących narcyzów.

— Dostałam od koleżanki, z jej ogrodu — tłumaczy Krystyna rumieniąc się — u pani w tym roku nie kwitną...

Misia na prośbę babci musi wyszukać flakon, napełnić go wodą, wstawić kwiaty, ale kręcąc się po kuchni i pokoju słyszy rozmowę. Babcia i pan-

?37

na Krystyna mówią o kwiatkach, nasionach, cebulkach, o całkiem zwyczajnych rzeczach. A Misia była pewna, że...

Chociaż owszem, obserwując Krystynę, podchwyciła jedno, drugie spojrzenie rzucane ukradkiem na duże zdjęcie wujka Tomka, które wisi nad łóżkiem babci obok fotografii mamy i cioci Heli. Więc może jednak...

Misia słucha bardzo uważnie, po prostu czuje, jak uszy się jej wydłużają. W takich wypadkach babcia żartuje, że ma w domu królika zamiast wnuczki. Ale dziewczynka musi przecież wiedzieć, dlaczego panna Krystyna... Oho, nic z tego, babcia na pewno naumyślnie proponuje pannie Krystynie herbatę. A może lepiej kawę?

— Wolałabym kawę.

I znów Misia biegnie z pokoju do kuchni i z powrotem, w dodatku filiżanki brzęczą, łyżeczki grzechocą, upuszczona taca pada z łoskotem na kamienną posadzkę i wszystkie te dźwięki zagłuszają słowa babci. Ale to i owo można zrozumieć. Misia dochodzi do wniosku, że niewiele straciła, babcia opowiada Krystynie o Baśce i o nieudanym narzeczeństwie Tomka. Więc ona o tym nie wiedziała?

— Musisz być cierpliwa, dziecko, cierpliwa i wyrozumiała — mówi babcia. — Wprawdzie od tamtej historii minęły już trzy lata, ale Tomek nie może zapomnieć. Głęboko go zraniła ta dziewczyna, rana przyschła, ale blizna została.

138

— Rozumiem — szepce Krystyna i już całkiem otwarcie nie spuszcza oczu z fotografii Tomasza. — Teraz rozumiem.

Babcia nalewa kawę do filiżanek, podsuwa cukier, śmietankę i mówi dalej:

— Tak już jest na świecie, że dziewczyna musi być łagodniejsza, ustępliwsza niż chłopak. Upór, zaciętość nie pasują do niej, a dobrocią i wyrozumiałością można więcej osiągnąć niż krzykiem i złością. Przegnałaś go precz, powiedziałaś, że wszystko między wami skończone i co? Jesteś smutna, płaczesz, żałujesz tych słów, chcia-

139

łabyś je cofnąć, prawda? Jeśli szczerze lubisz Tomka, jeśli jesteś do niego całym sercem przywiązana, pokaż mu, że to nieprawda, o co cię posądza. To może potrwać jakiś czas, musisz być cierpliwa, bo zranione ludzkie serce to nie grypa, którą raz dwa można wyleczyć proszkami.

Ojej, jaka ta babcia mądra! Mówi, jakby czytała z książki, Misia wcale nie przypuszczała, że ktoś, kto na ogół zajmuje się kuchnią, ogrodem, kurami, praniem i cerowaniem, potrafi tak rozsądnie, tak przekonywująco tłumaczyć ważne sprawy. I przecież babcia nigdy nie chodziła do porządnej szkoły, jest wiele spraw, o których nigdy nie słyszała, Misia wie znacznie więcej z geografii, z historii... A Krystyna? Krystyna kończy uniwersytet. Jest dorosłą, wykształconą panną, a w tej chwili wygląda jak mała dziewczynka z obsychającymi łzami na

policzkach i z nieśmiałym, pełnym nadziei uśmiechem. Okazuje się, że są dwie mądrości, ta, której uczą w książkach, i ta, która przychodzi nie wiadomo skąd, z serca albo po prostu z życia.

— Niech panna Krysią nie płacze — babcia klepie dziewczynę po ręce — jeśli sama nie chce rozmawiać z Tomkiem, to może ja mu powiem, dobrze?

— Och, proszę! Ja... — Krystyna czerwieni się i ma minę ośmiolatki — i jeszcze jedno... niech mi pani mówi po imieniu, tak będzie znacznie milej.

Babcia rozpromienia się jeszcze bardziej, całuje Krystynę w czoło i mówi:

— Dobrze, Krysienko, bardzo się cieszę. A teraz idźcie się przejść, ja odpocznę sobie trochę, zmęczyłam się gadaniem.

— Może chce pani wrócić do łóżka? — troszczy się Krystyna, ale babcia trzęsie głową.

— Nie, nie, już mam dość leżenia. Posiedzę sobie w fotelu, dajcie mi tylko taboret pod nogi i pled.

Po małej chwili Krystyna razem z Misia wędrują szosą, trzymając się za ręce jak dwie koleżanki.

— Twoja babcia jest bardzo dobra — mówi Krystyna, a Misia rośnie z dumy — i mądra. Jeszcze mi nikt tego nie powiedział, co ona, a to takie proste...

— Och, moja babcia! — Misia nic więcej nie dodaje, ale te dwa słowa zawierają wszystko.

Zaraz potem zaczyna terkotać jak nakręcona, musi przecież opowiedzieć Krystynie, co słyszała od babci i od pani Pokrowskiej, a Krystynę z pewnością interesują historie małżeńskie, bo jak ożeni się z wujkiem Tomkiem...

— Wiesz — mówi Krystyna, gdy Misia zdyszana milknie na sekundę — ja też niejedno mogłabym ci opowiedzieć... Moja rodzina jest inna niż twoja. Babcia nie pochodziła ze wsi, a dziadek nie miał sklepu, ale w każdej rodzinie zdarzają się ciekawe historie.

142

— Więc opowiedz — godzi się łaskawie Misia. Jest trochę rozczarowana, że Krystyna obojętnie wysłuchała wstrząsającej opowieści o nieszczęśliwej ciotce Agacie, a nawet jakby uśmiechnęła się z niedowierzaniem. Trudno, widać Misia nie umie tak pięknie opowiadać jak pani Pokrowska.

— Moja mama wyszła drugi raz za męża — zaczyna Krystyna — owdowiała bardzo młodo i została sama z malutkim synkiem. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku przyjechała do Wrocławia, poznała mego ojca, pobrali się i w dwa lata później ja się urodziłam.

— Więc ty masz brata? — przerywa Misia. — Też chciałabym mieć brata, ale mama śmieje się i mówi, że ja starczę za trzech chłopców.

— Mam starszego, przyrodniego brata i młodszą siostrę. Więc ten mój brat Staszek nigdy nie widział swego ojca, urodził się sześć miesięcy po jego śmierci. Misia otwiera szeroko oczy, to zaczyna być ciekawe.

— Mama miała wtedy osiemnaście lat i była sanitariuszką w oddziale partyzanckim. Wiesz przecie, że podczas wojny wielu chłopców szło do lasu, by walczyć z Niemcami, niektórzy wcale nie mogli wrócić do domu, bo groziło im aresztowanie, i musieli się ukrywać.

— Twoja mama też musiała się ukrywać?

— Tak. Dziadek, ojciec mamy, był z zawodu zecerem, podczas wojny należał do konspiracji

143

i prowadził tajną drukarnię. Babcia pracowała razem z nim, pomagała mu, pakowała

gotowe gazetki i biuletyny i rozwoziła po mieście. Niemcy odkryli drukarnię ukrytą w piwnicy, otoczyli dom, dziadek zaczął się ostrzeliwać. Wtedy Niemcy rzucili przez małe okienko granaty. I dziadek, i babcia zginęli na miejscu. A mama nie mogła wrócić do domu, bo domu nie było. Ona też wiedziała o drukarni i czasem pomagała rodzicom, ale w tym dniu akurat wyjechała z Warszawy. Ponieważ skończyła specjalne kursy i umiała nakładać opatrunki, robić zastrzyki i opiekować się rannymi, posłano ją do lasu, do oddziału. I w tym oddziale poznała Szpaka...

— Jakiego szpaka? — dziwi się Misia.

— Szpak to był pseudonim tego chłopca, naprawdę nazywał się Stanisław Tokarz, ale moja mama wtedy o tym nie wiedziała. Szpak i tyle. A sama nosiła pseudonim Wilga. Więc ten Szpak powiedział, że coś w tym musi być, że szpak i wilga to dwa pięknie śpiewające ptaki i że... No i tak się stało, że okropnie się pokochali i wiosną czterdziestego czwartego roku wzięli ślub. W lesie.

— Jak to: w lesie? — nie może pojąć Misia — to urzędnik przyjechał do lasu?

— Ach, nie! — niecierpliwi się Krystyna — nic nie rozumiesz! Wtedy jeszcze nie było Urzędu Stanu Cywilnego, wszyscy ludzie, czy im się to podobało czy nie, brali ślub w kościele.

144

?— A mówiłaś, że w lesie...

— Czekaj. Dookoła byli Niemcy, raz po raz wpadali do wsi rekwirować bydło albo zabierać ludzi na roboty, więc dowódca oddziału bał się ryzykować, a z drugiej strony chciał, żeby Szpak i Wilga mieli piękny ślub i piękne, prawdziwe wesele. Więc poprosił znajomego proboszcza i ślub odbył się w lesie, na polance, wśród sosen, dębów i brzoź. Byliśmy tam kiedyś z mamą, ja i Staszek.

— Gdzie?!

— Tam, w lesie. Kilka lat temu pojechaliśmy na wycieczkę w Góry Świętokrzyskie i mama, która świetnie pamiętała nazwy okolicznych wsi, odnalazła las i polankę i nawet resztki zawalonej ziemianki. I na cmentarzu byliśmy, gdzie leży Szpak, ojciec Staszka. Szpak zginął w akcji pod Bodzentynem i tam go pochowano. Moja biedna mama tylko cztery miesiące była mężatką. Krystyna zamyśliła się i popatrzyła smutnie na drzewa pokryte młodziutkimi listkami, na pola i na niebieskie, czyste niebo. Wtedy też była wiosna...

— Czekaj — otrząsnęła się ze smutnych myśli — miałam ci przecież opowiedzieć o ślubie mojej mamy i o weselu. Więc to było tak.

...Mały, niski ołtarzyk sklecony z brzozowych polan, podobniejszy do skrzyni na drzewo niż do ołtarza, zamiast haftów i koronek okrywa go czy-

10 — Marianna, Marysia, Misia

ste, trochę tylko połatane prześcieradło. Dwie cienkie świeczki gasną raz po raz i młody chłopiec, który przywiózł księdza, woźnica i ministrant w jednej osobie, musi je wciąż na nowo zapalać! Panna młoda nie ma ani ślubnej sukni, ani welonu, ani nawet bukietu, do zszarzałej, wypeł-złej bluzy przypięta kilka zawilców, to musi wystarczyć. Pan młody ma taki sam bukiet wpięty w zdobyczną, niemiecką panterkę, obszarpane spodnie i wspaniałe, lśniące nowiutkim lakierem oficerskie buty. Te buty pożyczył mu przyjaciel, kapral Piorun, bo Szpak na co dzień chodzi w czymś, co tylko z grubsza przypomina obuwie... Buty prezentują się wspaniale, ale pioruńsko cisną. Szpak już ledwie może wytrzymać, wydaje mu się, że łydki ściskają mu żelazne obcęgi.

Gruba, pocziwa siostra Malina, druga sani- ? tariuszka, pociąga nosem i chlipie.

— Biedulka moja, sierotka, jakież to ślub, ja-1 kie wesele bez rodziców, bez rodziny... Patrz — trąca stojącego obok plutonowego Lisa — i bukietek już zwiadł, choć nie ma i godziny, jak zawilce zbierałam. Na psa urok! — strzepuje palcami — zła wróżba!

— Cicho bądź, Malina — szepce gniewnie; Lis — wybrała się z wróżbami! Wiadomo, zawilec kwiatek delikatny, ledwo go zerwiesz, już wię-dnie, żadnej tu złej wróżby nie ma.

Malina wzdycha, nie podoba się jej to wszystko i ten ślub między drzewami, i panna młoda bez

146

wianka i welonu... Prawda, ksiądz jak się należy mruży swoje łącińskie modlitwy i stułą młodym ręce wiąże, ale szum drzew roznosi słowa po lesie. Właściwie nic nie słyhać, tylko ten szum.

Tylko Wilga nie jest smutna, patrzy na swojego Szpaka, a oczy ma jasne, świetliste... nic złego przytrafić się nie może, przecież odtąd będą już zawsze razem. Razem!

Dopiero odchodząc od ołtarza z nowo poślubionym mężem i patrząc na stojących kołem mężczyzn, żołnierzy, partyzantów, widzi, że niejeden kułakiem ociera oczy i zmieszany odwraca twarz. Pewno o własnym domu, żonie, dzieciach wspominał i nie mógł powstrzymać żalu i łez. Teraz dopiero Wilga uświadamia sobie, że jest wojna i nie wiadomo, co przyniesie jutrzejszy dzień. Ale nie ma czasu na łzy.

Otoczają ją kołem koledzy, towarzysze, sypią się życzenia, gratulacje, nawet jakieś biedne, naprędce uszykowane prezenty ślubne. Prezenty... Chusteczka do nosa, mydełko, flakonik kwiatowej wody. Kapral Piorun wystąpił z najokazalszym darem, z dumą wręcza Wildze prawdziwe, jedwabne pończochy!

A potem wesele, poczęstunek przy skleconych naprędce stołach. Strzelec Bury aż poczerwieniał z wysiłku, usiłując wydobyć ze starego zdezelowanego akordeonu najpiękniejsze dźwięki. Nie zawsze mu się to udaje, ale nikomu nie przeszkadzają luki w melodii. Wiadomo, akordeon zdo-

J0«

147

byczny, trochę postrzelony i Bury naprawił g0) jak potrafił. A zresztą w głowach szumi, kompania gęsto pije zdrowie państwa młodych, rzadko przegryzając, bo z przekąską ubogo. Trochę wędzonego boczku, cebula, chleb — na tyle luda skąd wziąć więcej? I już wieczór nadciąga, chłód wieje od lasu, mgła ściela się między drzewami. Ksiądz dawno odjechał, weselnicy skupili się kołem i milczą, jakoś im niewesoło. Starszy strzelec Osa, najlepszy śpiewak w oddziale, nuci półgłosem, po chwili chór podchwytuje nutę piosenki:

Rozszumiały się wierzby płaczące, Rozpłakała się dziewczyna w głos, Od łez oczy podniosła błyszczące Na żołnierski, na twardy życia los.

Wilga zaszlochała głośno, oparła głowę na ra-1 mieniu Szpaka.

— Dureń! — krzyczy plutonowy Lis i szarpie^ Burego za ramię. Melodia milknie, nie dokończony akord urywa się z jękiem — zagraj „Partyzancka idzie wiara” — rozkazuje.

W rytmie dziarskiego marsza cichną szlochani Wilgi...

Misia aż drży z przejęcia. Co za niezwykły ślub, co za wesele, nawet się jej nie śniło, że coś takiego jest możliwe. Szarpie Krystynę za rękaw kurtki.

148

— I co dalej? — dopytuje się natarczywie — co było dalej?

— Już ci mówiłam — odpowiada sucho Krystyna — cztery miesiące później, w lipcu,

Szpak zginął atakując niemiecki konwój, wiozący więźniów do Kielc. Matka została wdową. Zaopiekowali się nią koledzy, umieścili w pobliskim miasteczku przy rodzinie lekarza, który jeździł do lasu i leczył rannych partyzantów. W grudniu urodził się Staszek. W styczniu nadszedł front, a z nim wyzwolenie.

— To bardzo ciekawe — szepce Misia — ale smutne. Nie lubię smutnych historii, chociaż nie, lubię słuchać, tylko potem robi mi się jakoś dziwnie. Wciąż muszę myśleć... Wczoraj myślałam o pannie Koci i o ciotce Agacie, a dziś będę myśleć o Wildze...

— Czekaj — mówi uśmiechając się Krystyna — opowiem ci teraz coś weselszego.

— O ślubie? — dopytuje się Misia.

— O ślubie, i to o zupełnie zwariowanym ślubie. Przed paroma miesiącami wychodziła za mąż moja koleżanka i sąsiadka. Jej rodzice mieszkają w drugim domu i znamy się od najmłodszych lat. Wiedziałam, że Joaska ma chłopca, ale przez myśl mi nie przeszło, że to coś poważnego. Latali razem do klubu, na tańce, spotykali się prawie codziennie. On jest na piątym roku politechniki, a Joaska za rok kończy biologię. Widywałam ich czasem razem i nawet dziwiłam się, że Joanna

149

nigdy tego chłopca nie zaprasza do domu, wieczorami odprowadzał ją i zegnał się przed bramą. Myślałam, że rodzice Joanny są surowi i że boi się draki. Wprawdzie nie zabraniali jej wychodzenia do kina czy na potańcówki, ale może gdyby dowiedzieli się, że to poważna sprawa, że chodzi o małżeństwo, zaczęliby kręcić nosem.

— Wiesz, jak to jest — zaraz śledztwo, tysiące pytań — a kto, a skąd, a z jakiej rodziny, a kim są jego rodzice, no wiesz, takie zawracanie głowy. A zresztą Joanna zawsze twierdziła, że ślub to czysto osobista sprawa i nikt nie powinien się wtrącać, radzić albo odradzać. Nawet rodzice. I że narzeczeństwo, oświadczyzny, zgoda rodziców to wszystko jest strasznie staroświeckie i że dzisiaj nowoczesne dziewczyny zupełnie inaczej wychodzą za mąż. Widać jej chłopiec był tego samego zdania, bo któregoś dnia...

...Joanna przełknęła ostatni łyk herbaty, odstawiła filiżankę i powiedziała do matki.

— Mamo, wychodzę za mąż. Ślub jest jutro o jedenastej, przyjdź, jeśli możesz, bo ojciec pewno nie będzie się mógł zwolnić z pracy.

Matka wydała jakiś dziwny dźwięk, wyglądało na to, że stanął jej w gardle kęs ciasta, ojciec poczerwieniał i zdołał wykrztusić tylko tyle:

— Co, co, co?

— Słyszeliście — odparła spokojnie Joanna -

150

jutro o jedenastej wychodzę za mąż. W Pałacu Ślubów. Mamo, czy możesz mi pożyczyć swoje kremowe rękawiczki?

Ojciec odsunął krzesło tak gwałtownie, że upadło na podłogę.

— Czy to ma być dowcip? — krzyknął.

— Wcale nie. Od dawna mam chłopca, spotykamy się prawie trzy lata i doszliśmy do wniosku, że będzie lepiej, jeśli się pobierzemy. On mieszka w Akademiku, tracimy mnóstwo czasu na spotkania, na wałęsanie się po parkach i kawiarniach, a tak będziemy razem. On robi w tym roku dyplom, musi mieć spokój i odpowiednie warunki, a ja ostatnio też trochę zaniedbałam naukę.

— I małżeństwo ma wam pomóc w ukończeniu

studiów, tak? — zasyczał ojciec. — A czy mogę wiedzieć, gdzie będziecie

mieszkać, z czego
żyć?

— Oczywiście, zamieszkamy tutaj, chyba nie będziecie mieć nic przeciwko temu? Mój pokój jest wystarczająco duży. Mak ma stypendium dość wysokie, dostaje też coś z domu, a wy chyba dorzucicie swoją dołę do czasu, aż skończę studia i zacznę pracować.

Ojciec wyraźnie się dusił, nawet zaczął już rzeźzić. Szarpnął kołnierzyk, zerwał guzik koszuli.

— Za chwilę mnie szlag trafi! To przecież coś niesłychanego! Ona mówi o małżeństwie jak o wycieczce do Krynicy! A nie przyszło ci na myśl, że my też mamy coś do powiedzenia?! .

15f

— Jestem pełnoletnia.

— Skoro jesteś pełnoletnia, nie licz na forszę od rodziców, niech cię mąż utrzymuje! Ani na mieszkanie.

— Mogę iść do pracy i kończyć studia zaocznie, ale to dłużej potrwa. Myślałam, że nie będziecie tacy drobiazgowi! Przecież za niepełny rok Mak zacznie zarabiać, ma poszukiwaną specjalność i zapewnioną pracę.

— A ty, co? — ojciec przypomniał sobie o żonie, która dotąd nie powiedziała ani słowa — no, rusz się, przemów jej do rozumu, powiedz coś! Ładnie wychowałeś córeczkę, nie ma co!

Matka płakała. Płakała i milczała.

— No, gdzie są twoje projekty, twoje plany? — szydził ojciec — razem z tą wariatką Wandą wymyśliłyście historyjkę jak dla grzecznych dzieci i co?

Matka dalej płakała. Wanda była jej najserdeczniejszą przyjaciółką, prawie siostrą. Chodziły razem do przedszkola, do szkoły, razem zdały maturę. Nie rozdzielały się nigdy, mieszkały w jednej kamienicy.

Potem Wanda wyszła za mąż i wyjechała z Wrocławia na drugi koniec Polski. Ale kontakt trwał, listy szły prawie co tydzień, od czasu do czasu przyjaciółki się spotykały. Wanda miała syna i dwie córki, matka Joanny tylko ją jedną. Przed paru laty Wanda z rodziną przeniosła się w pobliże Wrocławia.

?52

Podczas którejś z rzędu wizyty przyjaciółka powiedziała:

— Wiesz, martwi mnie mój Leon, dorosły chłopak, student, a w ogóle nie zwraca uwagi na dziewczęta. Jest zbyt poważny, zbyt zasadniczy. Tacy jak on albo wcale się nie żenią, albo żenią się nieszczęśliwie.

— Moja Joasia z pewnością by go rozruszała, ona taka żywa, wesoła, energiczna. Uknuła spisek. Joanna została zaproszona wraz z matką na święta wielkanocne do pani Wandy.

— Niech dzieci się poznają, niech się zaprzyjaźnią ze sobą. Ostatnio widziały się, jak miały po dziesięć lat.

Ale „dzieci” nie przypadły sobie do gustu. Joannie nie spodobał się Leon, a pani Wanda ze smutkiem stwierdziła, że syn na wzmiankę o Joasi wzrusza niechętnie ramionami i mruży „koza”. Ale matka Joanny nie traciła nadziei i wciąż snuła piękne plany. Usiłowała nawet dotrzeć do młodego człowieka, który studiował we Wrocławiu, zaprosić go na obiad, na wycieczkę, na imieniny, ale jakoś nigdy jej projekty nie dochodziły do skutku. Syn pani Wandy wyraźnie unikał spotkania z przyjaciółką matki, a gdy go już w końcu przycisnęła do muru, zawsze znalazł jakiś wykręt. Matka Joanny niejedną noc spędziła bezsennie, ale rady na razie nie znalazła.

I nagle ta wariatka Joaśka oświadcza, że wychodzi za mąż!

T53

Joasia już dawno poszła do swego pokoju, mąż zażył lekarstwo na nerwy, położył się na tapczanie i zasnął, a pani Janina wciąż popłakiwała nad filiżanką nie dopitej herbaty.

Joanna wychodzi za mąż! I mówi o tym w ostatniej chwili, obojętnie, spokojnie, jakby chodziło o drobiazg, a nie o ważną decyzję! A gdzie ślubna suknia, goście, zaproszenia, przyjęcie? Pójdą do ślubu jak na spacer albo do biura? Co powiedzą znajomi, przyjaciele, rodzina? Zaraz zaczną się plotki, domysły, współczujące spojrzenia, kiwanie głowami. I przecież...

— Jezus Maria! — załamała ręce pani Janina — przecież ona nawet nie powiedziała, za kogo wychodzi! Jakiś Mak... co to za imię? Pewno skrót od Marek, oni teraz wszystko skracają. Student politechniki... I to wszystko, co wiem o przyszłym zięciu?!

Pani Janina poderwała się z krzesła, kiedy skrzypnęły drzwi i do pokoju wsunęła głowę Joasia. Miała świeżo umyte włosy i zakręcone na nich wałki, mimo wszystko wyglądała jednak bardzo ładnie.

— Byłabym zapomniała... nie powiedziałam wam, za kogo wychodzę. Mój przyszły mąż nazywa się Leon Maksymilian Witkowski.

Nogi ugięły się pod panią Janiną.

— Maksymilian? Witkowski? — powtórzyła z wysiłkiem — syn Wandy?!

— No tak, przecież sama mnie z nim poznałaś.

154"

Mówię na niego Mak, bo Leon to takie jakieś głupie imię.

Pani Janina na miękkich kolanach dojręła do tapczanu i usiadła obok śpiącego męża. Szarpnęła go za ramię.

— Słuchaj, Joanna wychodzi za mąż za młodego Witkowskiego, za syna mojej Wandeczki! Czy to nie cudowne?

Mąż, gwałtownie przebudzony, mrugał powiekami i nic nie rozumiał.

Potem wrzasnął:

— To wcale nie zmienia faktu, że postąpiła jak skończona idiotka! Syn Wandy?...

To dobrze, przyzwoity chłopak i zdolny, ale dlaczego te tajemnice, co to za sposób zaskakiwania rodziców w ostatniej chwili? A Wanda o tym wie?

— Nie mam pojęcia, ale tak się cieszę! Przecież ja właśnie marzyłam... syn Wandy!

— Druga stuknięta! — stwierdził mąż i przewróciwszy się na bok zasnął ponownie. Zażyte lekarstwo nie przestało działać.

Pani Janina znów zaczęła płakać, tym razem z radości. Kochana Joasia, kochany Le... Mak!

Misia parsknęła śmiechem. To dopiero heca! Takiej zabawnej historii już dawno nie słyszała. Ale w opowieści Krystyny były niejasne szczegóły. . Trzeba to wyjaśnić.

155

— Przecież oni z początku wcale się sobie nie podobali — zaczęła — więc dlaczego potem...?

— Czy to wiadomo, dlaczego? — uśmiechnęła się Krystyna — pewno dlatego, że wiedzieli o projektach swoich matek, więc może na złość... A potem spotkali się

we Wrocławiu i już inaczej popatrzyli na siebie. Mieli wspólne upodobania, polubili swoje towarzystwo, okazało się, że odpowiadają sobie. Nie przyznali się rodzicom trochę dla żartu, a trochę, by uniknąć „wtrącania się”, dobrych rad, „urządzenia” życia. Chcieli sami decydować.

— Czy to dobrze? — spytała Misia.

— Czy ja wiem? Mnie nie podobał się postępek Joanny...

— Mnie też nie! — oświadczyła stanowczo dziewczynka — tak nie powinno się wychodzić za męża. A ty... czy ty mogłabyś zrobić taki numer swojej mamie? — pyta patrząc z nagłym niepokojem na Krystynę.

— Nie. To przecież ważny i piękny dzień... dzień ślubu. Dlaczego miałabym siebie i ją pozbawiać takiego przeżycia?

Misia oddycha z ulgą. To dobrze, to bardzo dobrze, że Krystyna tak uważa. Babcia by tego nie przeżyła.

— A co było dalej z Makiem i z Joanną?

— Na razie wszystko dobrze się układa. Oczywiście rodzice ???? przyjechali na ślub, było trochę płaczu, trochę śmiechu i obiad w restauracji.

156

Misia patrzy z podziwem na Krystynę.

— Ale ty fajnie opowiadasz! Prawie tak samo jak babcia...

— Właśnie, babcia! Z pewnością wygląda przez okno i niepokoi się. Popatrz, jak późno!

— Eee, nie, babcia wie, że z tobą nic mi się nie stanie. Babcia cię bardzo lubi, wiesz?

Krystyna nie odpowiada, tylko mocno obejmuje Misie ramieniem.

ROZDZIAŁ X

Czyja to zasługa?

Babcia co prawda nie niepokoiła się, ale była trochę niezadowolona.

— Obiad już gotowy, a wy latacie gdzieś światami! — burczała, nakrywając do stołu.

Misia i Krystyna uważały, że jeszcze za wcześnie na obiad, ale babci nikt jeszcze nie przekonał. Nie chciała odstąpić od dawnych przyzwyczajeń, obiad jada się o pierwszej, i koniec. Chyba że ktoś wraca późno z pracy, jak na przykład Tomek. Wtedy trudno.

Krystyna trochę się wymawiała, nie chciała sprawiać kłopotu, ale w końcu obie z Misia z apetytem spałaszowały barszcz z ziemniakami, a potem pierożki z kapustą. Przełykając ostatniego pieroga i wydziobując końcem widelca ostatnią przyrumienioną skwarę, Misia coś sobie przypomniała.

— Czy to ty, babuniu, ugotowałaś obiad? Przecież nie wolno ci jeszcze nic robić, masz siedzieć w fotelu...

— Skądże — machnęła ręką babcia — pani

158

Sabina przyniosła cały obiad, to dobra, uczynna sąsiadka.

— Ty jej też pomagałaś, kiedy miała rękę w gipsie — przypomniała Misia — nosiłaś jej obiady, zmywałaś naczynia, nawet pranie robiłaś, choć pani Sabina ma męża.

— Człowiek powinien pomagać jeden drugiemu, nie żyjemy w lesie. — Krystyna wstała, podziękowała za obiad i zebrała talerze.

— Wobec tego ja umyję naczynia, a ty powy-cierasz — powiedziała do Misi. Dziewczynka skrzywiła się, ale tylko na chwilę. Z Krystyną nawet wycieranie talerzy mogło być

przyjemne.

Doprowadziwszy kuchnię do porządku, Krystyna oświadczyła, że musi już wracać do domu. Popatrywała przy tym nerwowo na zegarek i miała tak niespokojną minę, że babcia uśmiechnęła się domyślnie.

— Masz jeszcze dużo czasu. Tomek nigdy nie wraca wcześniej niż o czwartej, a dziś z pewnością wróci później, bo miał odebrać moje szkła u optyka. Usiądź tu przy mnie i opowiedz mi coś o sobie, skoro masz zostać moją synową, musimy się dobrze poznać.

Krystyna czerwieni się i szepce cichutko:

— Przecież to jeszcze nic nie wiadomo.

Ale zaczyna opowiadać o domu, o rodzicach, o rodzeństwie. Nagle Misia słyszy głos babci i nadstawia uszu.

159

— ...To przez tę wojnę wszystko się odmieniło. Dawniej kobieta siedziała w domu, prała, gotowała, niańczyła dzieci. I musiała być posłuszna mężowi. On pracował, on utrzymywał rodzinę, więc i posłuch musiał mieć, i уваżanie. Mąż był najważniejszą osobą w domu... Więc co robi twoja mama, powtórz mi jeszcze raz.

— Jest linotypistką, pracuje na takiej maszynie, która drukuje gazety.

— Dziwne — kręci głową babcia — jeszcze o takim zawodzie nie słyszałam. No, ale dziś kobiety biorą się do wszystkiego, czytałam kiedyś, że jedna to nawet jest kapitanem okrętu. Za moich młodych lat tego nie bywało, dla dziewczyny dobrze było zostać krawcową, modniarką, nauczycielką, urzędniczką na poczcie albo na kolei, a te, co szkół nie pokończyły, szły na służbę do wszystkiego albo na niańkę do dzieci. Pewno, były i takie, które na studia się dostały i pracowały w męskim fachu, ale te na palcach można by policzyć. I ludzie, zwłaszcza na wsi, mimo że w czasie wojny widzieli nawet kobiety, które walczyły razem z mężczyznami, długo nie mogli pojąć, że kobieta może być doktorem albo inżynierem. Nie wierzyli, że woli chorych leczyć, domy i mosty stawiać. U nas, w Ulanowie, prawda, że to była wioska deskami zabita, ale z początku też tak myśleli. Ja już wtedy wyjechałam na Zachód, nie byłam przy tym zdarzeniu, ale Józka przecie została i od niej wiem. Józka pierwsza do

160

ambulansu poleciała na te obowiązkowe prześwietlenia i sąsiadki ze sobą pociągnęła...

...Jezusie Mario, przymusowe badania? To co, na siłę nas do tych do doktorów powiekom, może jeszcze i do szpitala? Nie pójdę i dzieciakom iść nie pozwolę. Nikt u nas nie choruje.

— Co wy wygadujecie, Mikusiowa! Siłą was nikt nie ciągnie. Przyjedzie z miasta ambulans z lekarzami, przywiozą ze sobą taki aparat, który pokazuje, czy płuca zdrowe, czy chore. I na to prześwietlenie trzeba się zgłosić obowiązkowo — tłumaczy Józka — ani to nie boli, ani nie kosztuje, a doktor ino spojrzy i już wie, co wam dolega. Przecie wisiało na gminie obwieszczenie, nie czytaliście? W szkole się te badania odbędą, w niedzielę po sumie.

Mikusiowa pociąga wstydliwie nosem, co tam rozpowiadać, że z czytaniem u niej nietęgo.

— A wasz Władzio coś od wiosny pokaszluje, trzeba by go koniecznie prześwietlić.

— Bo się zaziębił, ale chłopak zdrów jak krzemień!

Dawna Józka Motykówna, dziś Józefa Góralo-wa, spogląda z politowaniem na „krzemień”. Władek jest nieduży, chudy, dawno nie strzyżona czupryna opada mu na otoczone ciemnymi sińcami oczy i na wpadnięte policzki.

— Jak uważacie — mówi Józka wzruszając

11 — Marianna; Marysia, Misia

ramionami - - ja idę, dzieci prowadzę i starego też namówię. Trzeba korzystać, kiedy lekarze sami do nas przyjeżdżają i w dodatku darmo będą leczyć. — Ostatnie słowa wypowiada z naciskiem. Wiadomo, że Mikusiowa nie bogaczka, pewno najwięcej boi się opłaty za to tajemnicze prześwietlenie.

— Ano... ja wiem? Może i trzeba iść? No, czego stoisz? — szturcha z nagłym gniewem syna — biegaj do domu i przykaż Mańce, żeby koszule dobrze wymaglowała. I znieście ze strychu koryto, wieczorem wody nagrzeję, to się wyszorujecie porządnie.

Obie kobiety stoją na drodze przed sklepem, spotkały się, bo jednej soli zabrakło, a druga po ocet przybiegła.

Coraz więcej sąsiadek, gospodyń wokół nich się zbiera.

— Wiecie — woła z daleka chuda jak kij od miotły Więckowa — a to sołtys mojemu gadał, że te doctory badać bedom za darmo! Kto chce, może zająć po poradę na wszystko!

— Ale! — wzrusza ramionami tłusta Ragacz-ka — na wszystko! Jeszcze się taki nie urodził... albo człowiek na śmierć chory i kosztuje się nie wywinie, albo bez doctarów do zdrowia przyń-dzie.

— Nie gadajcie byle czego — wtrąca się Ja-niakowa — przecie mój chłopak pisał z wojska, że na brzuch chorował, jeść nie mógł, gorączkę

162

miał i doktorzy mu pomogli. Brzuch rozcięli i teraz zdrow chłopak jak rydz!

— Po mszy zaszłam do zakrystii — zaczyna cicha, pobożna Godulina, która więcej przy kościele siaduje niż w domu — komeżki miałam brać do prania. Ksiądz też namawia, żeby iść, lepiej, powiada, zawczasu wiedzieć, co komu dolega niż w ostatniej chwili darmo pomocy wyglądać. Obiad dla tych doctarów na plebanii szykują.

W niedzielę w południe zajechał do wsi samochód z czerwonym krzyżem. Sporo ludzi już czekało przed szkołą, przeważnie kobiety z dziećmi. Ale i chłopcy powoli zaczęły się schodzić. Z ambulansu wyszedł starszawy mężczyzna w białym fartuchu i dwie młode kobiety.

— Doctór, doctór — zaszemrało między zebranymi.

— Starszy, to i dobrze, niejedną chorobę widział...

— A te dziewczuchy?

— Pewnikiem do pomocy.

I nagle niespodzianka! Starszy mężczyzna okazał się technikiem obsługującym aparat rentgenowski. Będzie też porządku pilnował, wypełniał karty chorobowe, a badać i leczyć mają właśnie „te dziewczuchy”!

Szmer niedowierzania między ludźmi, ktoś zachichotał, ktoś splunął pod nogi.

Stary Rajca czapkę nacisnął na uszy i wykręcił się na pięcie.

163

— Tego na świecie nie bywało, żebym ja takim młódkom pokręcone gnaty pokazywał. Idę do domu.

Jeszcze kilka osób odeszło, ale reszta została. Z ciekawości. Jedna z lekarek stanęła na stopniach ambulansu i zaczęła tłumaczyć. Że najpierw uruchomią rentgen i będą prześwietlać płuca, a potem do szkolnej izby może przyjsć każdy, kto chce zostać zbadany. Nie gadała długo, kazała ludziom ustawić się w dwie kolejki, po jednej stronie kobiety z dziećmi, po drugiej mężczyźni. I przynaglała.

— Prędeż, proszę prędeż wchodzić po trzy osoby, rozebrać się za parawanem do pasa. Najpierw kobiety.

Przy samym wejściu stała Więckowa z córkami, ją też lekarka lekko popchnęła ku stopniom ambulansu.

— Ja ta wim? — wystraszyła się nagle kobiecina — a ten aparat to na elektrykę, czy jak?

— Nie bójcie się niczego, moi kochani — wtrąciła druga lekarka — przecie nikt wam krzywdy nie chce zrobić, a właśnie pomóc.

— No jazda, jazda! — zahuczał basem technik — dokąd się będziecie namyślać? Włazić do środka!

Czego nie dokonały łagodne namawiania obu kobiet, sprawił bas technika. Więckowa aż przysiadła ze strachu i prędko wgramoliła się na stopień.

164

Potem już wszystko poszło gładko, przynajmniej do czasu, kiedy skończywszy prześwietlanie, lekarki weszły do szkoły. I tam w przedsionku czekało sporo ludzi, a wśród nich Wicek Ra-gacz, Antek Sroka i Stasiek Walczak, największe łobuzy i rozrabiaki w całym Ulanowie i okolicy. — Zaraz mnie coś tknęło — opowiada potem Józka — że oni jakieś głupstwo szykują, śmichy--chichy sobie z prześwietlenia robili, Stasiek nawet po karku od technika dostał, bo wiercił się, jakby go gzy opadły, i stolik przewrócił, a teraz stoją niby trusie, a miny mają takie, że tylko do trumny kłaść.

Właśnie z izby szkolnej, przemienionej tymczasowo na gabinet lekarski, wychodzą trzy kobiety z dziećmi i najmłodsza, Zośka Lipieniowa, gada z ożywieniem, że doktorka kazała małego co dzień kąpać i na słońcu kłaść, gdy pod drzwi podsuwają się ci trzej, Ragacz, Sroka i Walczak.

— Kto następny, proszę — zahuczał technik i wpuścił ich do klasy. Nie domknął drzwi i wszyscy, co stali w pobliżu, słyszeli.

— Pani doktorko — zaczął Ragacz skamłającym głosem — ja to pewnikiem mam tyfus, znachorka oglądała i powiedziała matce, żeby w stajni spał, bo to zaraźliwa choroba...

— Proszę się rozebrać — przerywa mu lekarka.

Ragacz ściąga koszulę i pokazuje liczne czerwone cętki na piersiach i na plecach.

165

Lekarka ogląda mu oczy, każe otworzyć usta, maca szyję za uszami, wreszcie mówi do technika:

— Proszę mi podać watę i spirytus.

Ragacz wykrzywia się pociesznie jedną stroną twarzy ku kolegom i zaczyna pisać:

— Oj jej, pewno już moja ostatnia godzina, już się śmierci nie wywinę... — milknie nagle i ze zdumienia aż otwiera usta.

Lekarka umoczoną w spirytusie watą ściera „tyfusową” wysypkę.

— Zdrowy jesteś jak koń, twoja jedyna choroba to głupota — mówi spokojnie.

Ragacz całkiem odurniały wychodzi, a w sieni wita go chóralny wybuch śmiechu. Sroka i Walczak uciekają, rezygnują z dalszej zabawy. Bo zmówili się, że Wicek będzie udawał chorego na tyfus. Antek Sroka niemowę, a Stasiek...

Nagle wszyscy jak na komendę obracają głowy ku drodze. Toż to stary Rajca biegnie teraz co sił w nogach, głowę ma otwartą, obwisłą szczękę i wydaje z siebie niezrozumiałe dźwięki, coś jakby „uea”, „uea”.

— A temu co się stało?

— Mowę mu odjęło czy jak?

— Rajca, co wam, gęby nie możecie zamknąć?

Stary macha rękami, odtrąca stojących na drodze i wpada jak bomba do izby, powtarzając swoje „uea, uea”.

166

Teraz już wszyscy cisną się do drzwi i okien, chcą zobaczyć, jak młode lekarki poradzą sobie z tym niezwykłym przypadkiem.

Rajca miota się po klasie, aż technik sadza go prawie przemocą na stołku i przytrzymuje za ramiona. Ładna, młoda kobieta w białym fartuchu podchodzi do starego, obmacuje mu szczękę i nagle — prask! Trzasnęła Rajcę w pysk z jednej strony, poprawiła z drugiej i szczęka wróciła na swoje miejsce. Stary usta zamknął, przestał wykrzykiwać „uea, uea”. Już wszystko w porządku.

— Żuchwa wam ze stawu wyskoczyła — mówi lekarka — musieliście szeroko ziewnąć albo krzyknąć.

— A juści, panienko, a juści — bełkoce Rajca obmacując z niedowierzaniem szczęki — spać mi się zachciało i ziewnałem se dokumentnie. I już potem ani w tę, ani w tamtą stronę... Panie Boże zapłać paniusi, jakżebym ja z tym pyskiem... Ale też paniusia mocna w garści niczym chłop — dodaje z szacunkiem — aż mi świeczki w oczach stanęły...

— Dobrze, dobrze, to drobiazg. A tu was nie boli? — pyta lekarka oglądając zreumatyzowane, pokryte guzami ręce starego.

— Boli, paniusiu złota, jeszcze jak boli! — potwierdza Rajca. — Może byście co pomogli, dali jakie smarowanie, żeby ulżyło — mamroee, zapominając, co przedtem wykrzykiwał.

?— Samo smarowanie nie pomoże, zapiszę wam

167

lekarstwo, ale z góry ostrzegam, że choroba jest zastarzała i całkiem nie da się wyleczyć.

— I tak to ludzie w Ulanowie przekonali się do tej medycyny — zakończyła babcia.

— A teraz to wszędzie są lekarze i w szkole, i w ośrodku, i w przychodni — wtrąciła swoje trzy grosze Misia.

— Jak ktoś całe życie je chleb z masłem, to nie wyobraża sobie, że mógłby mu smakować suchy, ale kiedy bywa odwrotnie... ooo, wtedy szanuje się i ceni tę posmarowaną kromkę. Wam się zdaje, że zawsze tak bywało jak teraz... kto ma ochotę, może się uczyć, kto chce pracować, pracę znajdzie, zachoruje, biorą go do szpitala i darmo leczą, zdarzy się wypadek, wystarczy zadzwonić do pogotowia.

— Przecież my wiemy, że dawniej było inaczej — wtrąciła nieśmiało Krystyna, ale babcia nie dała jej skończyć.

— Co wy tam wiecie! Tyle co w książkach napiszą albo co od starszych usłyszycie. A wiesz ty, że ja jeszcze takie czasy pamiętam, że pannie w spodniach nie uchodziło ludziom się pokazać? Tak, tak, palcami by cię wytykali, gdybyś tak na ulicę wyszła. I nie latałabyś z koleżankami do kina, do kawiarni, na spacer, nie wypadają młodym dziewczętom samotnie się wałęsać, zaraz źle o nich mówiono. A już niech Bóg broni, żeby

168

młoda panienska papierosy paliła. A dziś? Co druga kopci jak parowóz, z gęby komin robiąc. ' — Ja nie palę... — szepnęła Krystyna.

— Ja też nie! — pisnęła Misia.

— Jeszcze by tego brakowało! — machnęła ręką babcia. — Koci ogon!

169

Rozmowę przerwało donośne ujadanie Bukieta.

— Wyjrzyj no, Miśka, czemu ten pies tak hałasuje? — rozkazała babcia.

— Bukiet szczeka na listonosza — wyjaśniła dziewczynka. Wybiegła i po chwili wróciła, machając niebieską kopertą. — List do wujka!

— Połóż na kredensie.

Misia spełniła polecenie, potem stanęła przed babcią, ręce założyła na plecy, zmarszczyła czoło.

— Babciu, ty jesteś niesprawiedliwa...

— A tobie co do głowy przyszło?

— Tak, bo od początku opowiadasz tylko o dziewczętach. O sobie, o Małgosi, o ciotce Józii, o pannie Koci... A mężczyźni? Czy im się nic nie odmieniło? Wciąż mówisz — dawniej było inaczej, dawniej dziewczęta nie mogły tego, tamtego, musiały słuchać najpierw rodziców, a potem męża i nie miały nic do gadania. A chłopcy?

— Chłopom zawsze lżej się żyło — mruczy babcia.

— I dziś też! — woła Krystyna. — O wiele lepiej być mężczyzną!

— To zależy...

Ktoś cicho wszedł do pokoju i powiedział te dwa słowa. Wszystkie trzy odwróciły głowy jak na komendę. Krystyna poczerwieniała i zaczęła skubać frędzle obrusa.

Misia pisnęła cienko, przeraźliwie, tylko babcia spytała, jakby nigdy nic:

— A ty co tak wcześniej do domu wracasz? Przecie jeszcze nie ma trzeciej...

170

— Niech ją mama spyta! — krzyknął wujek Tomek, wskazując na Krystynę. — Jak głupi zwalnam się z pracy, latam po wykładach, po ćwiczeniach, nawet do domu zaszedłem, a ona siedzi sobie tutaj! Mandat zapłaciłem, o mało nie wpakowałem się na latarnię, wciąż ?? się zdawało... — urwał, wyjął z kieszeni chustkę i otarł spocone czoło.

— Czemu mnie szukałeś? — spytała cicho Krystyna, nie patrząc na Tomka.

— Bo... bo... och, nie ma o czym mówić!

— Ciotka Agata pomogła — szepce Misia niby do siebie, ale tak, by Krystyna usłyszała.

— Przeciwnie, jest o czym mówić — powiedziała spokojnie Krystyna — pżynajmniej ja mam ci wiele do powiedzenia.

Podeszła do stojącego nieruchomo Tomasza, uśmiechnęła się, wsunęła mu rękę pod ramię. Wyszli razem bez słowa, ale wyglądali tak, że Misia podskoczyła jak piłka i krzyknęła:

— Pogodzą się! Zobaczysz, babciu, że oni się pogodzą!

— Możliwe.

— I to dlatego, że ja opowiedziałam im o ciotce Agacie! To moja zasługa, moja, moja!

— O jakiej znów ciotce Agacie? — chce wiedzieć babcia.

Więc Misia po raz trzeci w ciągu tych dwóch dni opowiada historię zasłyszaną od pani Pokrow-skiej.

ROZDZIAŁ XI

Równe uprawnienie

— Jureczku — mówi mama, a głos ma taki miękki jak puchowy jasieczek — bądź tak dobry, skocz do sklepu po chleb, po masło i po herbatę. Ja już zaczęłam pranie i musiałabym się znów ubierać, a nie ma chleba na kolację.

— Misia nie może skoczyć? — mruczy tata zza gazety.

— Misia odrabia lekcje, nie wolno dziecku przeszkadzać, już ją raz oderwałam,

musiała mi pomóc założyć wąż od pralki, wciąż się ześlizguje z kranu. Tyle razy cię prosiłam, żebyś to naprawił.

— No już dobrze, dobrze — tata wstaje i idzie do kuchni. Długo szuka maminej portmonetki, siatki na zakupy, dokładnie wypytuje, jaki kupić chleb, jaką herbatę, jakie masło.

Przez ten czas ja bym już zdążyła pobiec do spółdzielni i wrócić — myśli Misia i myli się w mnożeniu.

Tata pyta jeszcze raz:

172

— A jak nie będzie praskiego chleba?

— To weź mazowiecki — woła mama z łazienki — i wiesz co, wstąp po drodze na pocztę, zapłać za światło i gaz. Rachunek leży na biurku.

— O tej porze będzie okropna kolejka — krzywi się tata, ale zawraca po rachunek.

— Na naszej poczcie zawsze jest kolejka — wtrąca Misia ze swego kącika.

Tata jest już prawie za drzwiami, gdy mama przypomina sobie o śmieciach.

— Jurek! — woła. — Wynieś wiadro ze śmieciami. Postawisz puste pod schodami, a wracając zabierzesz na górę.

Co to, to nie! Tata od czasu do czasu zrobi zakupy, zanieś ciężką miednicę z upraną bielizną na strych, pomoże wieszać, przy wyjątkowych okazjach, na przykład przed świętami, trzepie dywany (bo mama zawsze mówi, że odkurzacz całego kurzu nie wyciągnie). Nawet chętnie froteruje podłogi, pchając przed sobą ciężką szczotkę na długim kiju, ale zawsze broni się przed wynoszeniem śmieci. Misia nie może tego zrozumieć. Przecież śmieci nie są ciężkie, a wiaderko z żółtego plastyku bardzo ładne. Dlaczego tatuś nie lubi wynosić śmieci? Jeśli już nie może się wykręcić, czeka, aż zapadnie zmrok, i biegnie w kąt podwórza, gdzie stoją blaszane pojemniki na śmieci, jakoś chyłkiem, rozglądając się na boki.

Dziwne!

Misia jakoś nie zwracała na to uwagi, wyda-

173

wało się jej, że wszystko jest w porządku, tak przecież było zawsze. Mama wracała ze szkoły, mówiła, że leci z nóg, że głowa jej pęka, że miała bardzo ciężki dzień, a potem brała się do gotowania obiadu, sprzątanania, prania, prasowania.

Dlaczego tak jest? — duma Misia, opuszcza dwa wyrazy w zdaniu i już wcale nie wie, co miała napisać.

Przypomina sobie słowa babci, która opowiadała, że dawniej tylko mężczyźni pracowali, to znaczy zarabiali pieniądze, a żony robiły wszystko w domu.

Misia gryzie w zamyśleniu koniec pióra, marszczy nos, wzdycha i nic nie może wymyślić. Mama pierze w łazience, woda szumi i pralka huczy. To nie są warunki do rozmyślenia ani tym bardziej do prowadzenia poważnych rozmów. Ach, gdyby babcia nie mieszkała tak daleko, gdyby można wybiec na chwilkę i zaraz wrócić! W dodatku dziś dopiero środa, do niedzieli daleko. Bo babcia już zdrowa, przyjedzie na obiad i zostanie aż do wieczora. A po południu obiecał wpaść wujek Tomek z Krystyną. Bo oni się pogodzili i znów chodzą na spacer, do kina, do kawiarni. Mama jest bardzo zadowolona, tata klepie wujka po ramieniu i prawi Krystynie komplementy, a babcia... Babcia wzdycha:

— Żeby ten Tomek znów czegoś się nie uczeplił! Bo on taki do swego kawalerstwa przyzwyczajony!

175

Misia z wrażenia upuszcza pióro i robi na stroniez brzydki, czarny kleks. Ach,

ta pani wychowawczyni! Nie pozwala w młodszych klasach używać długopisów, dzieci muszą pisać piórem. Wprawdzie zgodziła się na wieczne pióra, ale i one potrafią upuścić kroplę atramentu, gdy są świeżo napełnione.

Misia starannie zlizuje kleks, wprawdzie na kartce zostaje rozmazana smuga, ale zawsze to lepsze niż przepisywanie całej strony. A zresztą to nieważne! Bo teraz już wie, dlaczego mężczyźni czują się ważniejsi w domu! Po prostu przyzwyczaili się! To jasne! W zeszłym roku Adam Lubień był gospodarzem klasy i tak się przyzwyczaił do komenderowania, że w tym roku raz po raz zapomina i gada, i wtrąca się do wszystkiego, choć gospodarzem jest teraz Marek Świetlik. Nawet Misia kilka razy mu przypominała, żeby się tak nie rządził. Babcia przecież mówiła, że kiedyś, gdy na przykład kobieta chciała sobie kupić buciki albo kapelusze, to musiała prosić męża o pieniądze, a on dawał albo nie. A teraz... teraz mama wszystko sama kupuje nie tylko dla siebie ale i dla Misi.

Ciekawe, jaki będzie wujek Tomek? Bo babci to on wcale nie pomaga. Zresztą babcia tego nie lubi i zawsze mówi, że mężczyźni nie pasuje „babska” robota. Pewno też przyzwyczaiła się choć nieraz narzeka, że zmęczona, że ma dość te codziennej krzątaniny.

176

A ciocia Hela powiedziała kiedyś, że kobiety najpierw walczyły o to no... równo... coś tam, a teraz żałują, bo mają dwa razy więcej roboty niż przedtem i że mężczyźni... Misia pędzi do łazienki.

— Mamo, prawda, że ty nie lubisz równego uprawnienia?

Ale mama akurat kręci korbą wyżymaczki, może nawet nie dosłyszała pytania córki. Wrócił tata i hałasuje w kuchni, pewno zły, że musiał tak długo stać w kolejce.

Ale nie, idzie do łazienki i mówi:

— Pomogę ci, ty podkładaj, a ja będę kręcił. Oho, tatę ruszyło sumienie! Razem z mamą

skończą pranie, a potem zanoszą na strych i rozwieszają. I tata przez cały czas będzie mówił:

— Połóż się, odpocznij, nie rozumiem, czemu się tak zabijasz?

A mama się nie położy, bo musi posprzątać łazienkę, przyszykować kolację, podgotować obiad na jutro, jeszcze coś przyszyć, coś przeprasować i już będzie godzina dziesiąta albo jedenasta...

Misia idzie do swego ulubionego kącika na fotel obok palmy. Siada wygodnie, nogi podwija pod siebie, na poręczy posadziła Klusia. Zawsze przyjemniej rozmyślać, gdy można się z kimś podzielić myślami, choćby tym kimś był tylko stary, pluszowy niedźwiadek z naderwanym uchem.

— Powinno być całkiem inaczej... — дума

Misia — całkiem! Ale jak?

12 - Marianna; Marysia; Misia ^77

Dziewczyna ubrana jest w spodnie ze złocistego materiału i taką samą kurteczkę. Ma długie, jasne włosy, usta umalowane błyszczącą pomadką i niebieskie cienie na powiekach. Ta dziewczyna to oczywiście Misia, tylko o wiele starsza.

Siedzi wygodnie w ogromnym, obrotowym fotelu, a fotel znajduje się na podwyższeniu. Znacznie niżej stoją jacyś mężczyźni. Różni. Młodszy i starsi, ubrani w niebieskie dzinsy albo w wizytowe ubrania, jeden jest nawet w mundurze wojskowym. Milczą i wpatrują się w dziewczynę na fotelu.

Z lewej i z prawej strony Misi przykucnęły dwie stare kobiety. Coś szepcą jej do Ucha, namawiają, trzęsą głowami, gestykulują.

Misia słucha W milczeniu, czuje się nieswojo, wie, że musi wybrać jednego z nich.

— Może ten — mówi, wskazując palcem wysokiego szatyna w motocyklowym hełmie i skórzanej kurtce.

Wybrany młodzieniec podbiega ku podwyższeniu. Jest dziwnie podobny do wujka Tomka, ma takie same zacięte usta i smutne, szare oczy.

Głos z lewej strony szepce:

— Inżynier, na dobrym stanowisku, mieszkanie, samochód, świetna partia. Głos z prawej jest wahający, niepewny:

— Ale uparty, niecierpliwy, zawzięty, podejrzliwy.

— Czy nie można go oduczyć? — pyta Misia.

178

— Trudno będzie. Wobec tego...

Misia robi nieznaczny ruch ręką i młody człowiek w hełmie wraca do szeregu. Na jego miejsce pojawia się wysoki, barczysty brunet w okularach.

Głosy szepcą:

— Porządny człowiek, spokojny, uczciwy.

— Urzędnik, mało zarabia, ospały, leniwy.

— Będziesz z nim miała święte życie.

— Zanudzi cię, lubi siedzieć w domu, nie znosi ruchu, gości, sportów.

Każdy kolejny kandydat ma nieco zalet i mnóstwo wad i Misia nie może się zdecydować, choć głos z lewej robi wszystko, by ją przekonać. Cóż z tego, gdy głos z prawej stara się usilnie o coś przeciwnego. Wreszcie dziewczyna przestaje słuchać szepców. Wzywa raz jeszcze pierwszego młodzieńca w motocyklowym hełmie. Jest wprawdzie uparty i podejrzliwy, ma mnóstwo wad, ale...

— On mi się podoba najbardziej — stwierdza — nic na to nie poradzę!

Młodzieniec zdejmuje hełm i kłania się z szacunkiem, przyciskając rękę do serca.

^

— Ty będziesz moim mężem — mówi Misia.

— Tak jest! — trzaska obcasami wybrany. — A teraz odwieź mnie do domu.

Kobiety zaczynają wymachiwać rękami i mówić obie równocześnie. A ślub, wesele, suknia, bukiet, goście?.

12*

179

Misia rzuca im spojrzenie pełne nagany.

— Ślub to sprawa osobista. Moja i jego.

Jednak pozwala włożyć na siebie białą, koronkową suknię i długi, przejrzysty welon. Pan młody jest w błękitnym fraku i wręcza narzeczonej ogromny bukiet czerwonych róż. Schodzą po schodach, po wielu wielu stopniach, u stóp schodów ktoś ustawił stół, a na nim torty, czekoladki i lody, całe piramidy lodów.

— Nie lubię słodczy — szepce błękitny frak i ma taką minę, jakby mu było niedobrze.

— A ja lubię — odpowiada wyzywająco panna młoda i ogromną łyżką zaczyna pałaszować czekoladowe lody.

Potem jadą samochodem, pan młody już nie jest we fraku, ma błękitną liberię i z szacunkiem otwiera przed żoną drzwiczki auta. Wchodzą do domu.

A w domu... Misia siada na kanapie obitej tygrysią skórą, sięga po gazetę, a jej młody, uroczy małżonek tym razem ubrany w kolorowy fartuszek przynosi na tacy tort i oranżadę. Potem ściera kurze, jeździ elektroluksem po dywanach, froteruje

podłogę, wybiega po zakupy.

— Ręce mi odpadają od tego dźwigania ciężkich siatek — skarży się.

— A po co nosisz wszystko naraz? — dziwi się Misia. — Czy nie lepiej zejść dwa razy i nie przemęczać się? Podaj mi proszek od bólu głowy, miałam dziś ciężki dzień.

180

Jest wieczór. W telewizji program oświatowy, w radio muzyka klasyczna. Co za nudy!

— Może byśmy wyskoczyli do kina? W „Gigancie” jest dobry film.

— Nie mogę, zacząłem pranie i muszę je skończyć.

— Oczywiście! Ty nigdy nie masz czasu! Kiedy człowiek raz chce iść do kina, ty właśnie musisz pracować. Inni jakoś mają czas na wszystko, są zadbani, uczesani... A ty? I popatrz na swoje ręce! Ty po prostu nie masz zmysłu organizacyjnego, biegasz od jednej roboty do drugiej i nigdy niczego nie kończysz.

— Ach, Boże, czego ty ode mnie chcesz? Przecież staram się... — Misia drgnęła. Głos jest przecież zupełnie wyraźny.

— Byłoby lepiej, gdybyś mi czasem pomógł zamiast gderać — ależ to mówi mama!

— Przecież ci pomagam.

— Tak, raz na miesiąc z wielkiej łaski. Prosiłam, żebyś wyniósł śmieci, i co? Sama musiałam zejść na dół.

— Mówię ci tyle razy, nie masz zmysłu organizacyjnego. Przede wszystkim...

Misia zerwała się z fotela. Do pokoju weszła mama.

?— Misiu, ty śpisz na siedząco. Chodź na kolację— mówi. _____

ROZDZIAŁ XII

Trzecia podróż z babcią

Babcia jest niesłuchanie podniecona i zdenerwowana, chodzi z kąta w kąt, mruczy pod nosem, wzdycha, a co gorsza nie zwraca uwagi na Misie. Przed chwilą skrzyczała wnuczkę, nazwała ją niemądrą smarkułą, powiedziała, że plecie głupstwa, a teraz wcale nie widzi, że dziewczynce lży kapią na niebieską sukienkę i zostawiają na niej ciemne, wilgotne plamki. Misi jest bardzo przykro, nie chciała babci rozgniewać ani obrazić, usiłowała tylko wytłumaczyć jej, że nie ma racji, upierając się przy hucznym weselu.

Bo niedługo wujek Tomek się żeni. Oczywiście z Krystyną. Ślub odbędzie się ostatniego czerwca i zaraz potem państwo młodzi pojedą na urlop. Dawniej podobno jeździło się w podróż poślubną, a teraz po prostu na wczasy albo na wakacje. Ale to i tak będzie niezwykle urlop, bo wujek pożyczył składany kajak, kupił namiot i śpiwory i będą razem z Krystyną pływać po różnych rzekach i jeziorach przez całe miesiące. Wujek Tomek z góry zapowiedział:

183

— Nie robimy żadnego wesela, żadnego hucznego przyjęcia. Cichy ślub, potem lampka wina u rodziców Krystyny i zaraz po południu wyjeżdżamy.

Babcia była zdruzgotana. Jak to? Żadnych gości, tylko najbliższa rodzina?

Krystyna w kremowym kostiumie, bez welonu, bez mirtowego wianuszka? Ani wystawnego obiadu, ani muzyki, ani orszaku ślubnego? Tak łapu-capu, na chybcika, prawie ukradkiem?! To się przecie w głowie nie mieści! I dlaczego? Dlaczego?! Czy Tomka nie stać na porządne wesele? Z rządem taksówek, z zamówionym fotografem? Czy nie może się żenić jak wszyscy? Jak ludzie?

I co to za pomysł cały urlop spędzić na wodzie... przeziębą się, dostaną zapalenia stawów, reumatyzmu. A spać będą w takiej psiej budzie? Jak Cyganie?! Czy już nie ma w Polsce porządnych hoteli, pensjonatów, a choćby prywatnych

kwater?

Wtedy właśnie Misia zabrała głos.

— Babciu — powiedziała — ty jesteś okropnie staroświecka. Chciałabyś, żeby wujek ożenił się po staremu, tak jak ty i dziadek, jak ciocia Józia i wujek Jędrzej. Po co wydawać tyle pieniędzy na taksówki, na gości, na wódkę? Babcia popatrzyła na wnuczkę bardzo nieprzyjemnym wzrokiem i krzyknęła z gniewem: — Głupstwa pleciesz, jesteś niemądra smarkula i tyle! Pieniądze, wszędzie te pieniądze! Jakby

184

to było najważniejsze. A zresztą... gdyby Tomek był na dorobku, gdyby biedę klepał... trudno. Tak krawiec kraje, jak materii staje. Ale przecie stać go na wszystko! Nie wiem, głupi jakiś czy skąpy?

Wtedy Misia zaczęła płakać. Łzy płynęły jej sznureczkiem po policzkach, choć właściwie powodu do płaczu nie było. Że smarkula — wiadomo, Misia wciąż jeszcze nie ma jedenastu lat, a że babcia uznała, że wnuczka plecie głupstwa? Cóż wielkiego, mama nieraz tak mówi i tata, i pani wychowawczyni.

Misia płacze z całkiem innego powodu. Żal jej babci i żal wujka Tomka. Że nie mogą się dogadać, zgodzić, że całkiem inne rzeczy uważają za potrzebne, ważne, ładne... I że ona sama nie wie tak całkiem na pewno, kto ma rację? Czy babcia, pragnąca, by syn miał piękny, okazały ślub, który długo wspominaliby sąsiedzi i przyjaciele, czy wujek, wyśmiewający przestarzałe nawyki?

Babcia przerwała nagle swoją wędrówkę po pokoju, zatrzymała się przed Misia, spojrzała.

— Bój się Boga, dziecko, czegoż ty płaczesz? Że nazwałam cię głuptasem? Wytrzymaj śleпка, nie gniewaj się na starą babcie, widzisz, że jestem zdenerwowana i...

— Ja nie dlatego! — wybucha Misia.

— Więc dlaczego?

— Bo ja... bo ja już nic nie rozumiem! — wyznaje dziewczynka z tak tragiczną miną, że babcia mimo zdenerwowania śmieje się.

T85

A potem zaczyna mówić. Głos ma łagodny, jakby lekko wzruszony, Misia chlipie coraz ciszej i słucha coraz uważniej.

— Wcale nie chodzi o pieniądze, ślub to bardzo piękna i bardzo ważna chwila. Człowiek pamięta o niej całe życie, nieraz na starość wraca myślą do tego dnia, wspomina i trzeba, żeby te wspomnienia były dobre i miłe. Dzień ślubu... ja ten dzień pamiętam, jakby to było wczoraj, a przecież minęło już przeszło czterdzieści lat...

...Mirt, dawajcie mirt! Przecież wianek jeszcze nie gotowy! A bukietiki dla друзbów? Mamo, gdzie biała wstążeczka? Szpilki leżą w pudełeczku na oknie. Matka zgrzana, spocona, cała czerwona od gorącego pieca, w którym od rana pieką się schaby, kurczęta i kiełbasa, raz po raz wbiega do paradnej izby przywoływana przez córki, siostrę lub druhny. Sama jest jeszcze w zwykłej, codziennej kiece, przy kuchni tyle brudnej roboty, choć dwie sąsiadki zaofiarowały się z pomocą, skubały kury, warzyły galaretę z nóg wieprzowych, siekały mięso na kiełbasy. Na Mariannę wcale nie można było liczyć w tych ostatnich dniach przed ślubem, chodziła jak błędna, wszystko jej leciało z rąk, tyle że ciasto upiekła i wczoraj nasmażyła pączków.

Za to dziś jest już spokojna, siedzi na skrzyni

186

i uśmiecha się, gdy młodsza siostra, Józka, pierwsza druhna, przymierza jej

wianuszek, upleciony z drobnych, sztywnych gałązek. Doniczka z mirtem stoi na oknie, krzaczek jest porządnie oskubany, wygląda, jakby go kozy ogryzły, ale to nic, do wesela Józki podrośnie... Bo Wikta to pewno wcale za mąż nie pójdzie, wiano ma niewielkie, a brzydka aż drze po skórce, gdy na nią spojrzeć! Kto by ją zechciał?

Marianna będzie brała ślub po miejsku, dostała od pani doktorowej kawałek białego materiału i zniosła do Reginy. Regińcia nie jest nadzwyczajną krawcową, ale tanio bierze... suknia trochę pije pod pachami, a na plecach, między łopatkami ma garb, ale to przykryje welon. Marianna żałuje, że nie starczyło pieniędzy na białe pantofle i rękawiczki, trudno, i tak wykosztowała się nad miarę, pójdzie do ślubu w popielatych. Za to welon jest wspianały, długi i lekki, wszystkie Żydówki w sklepiku cmokały z zachwytu, gdy go przymierzała. Jasiak też będzie miał miejskie ubranie, granatowe, bardzo porządne.

— Matko Święta! — piszczy Józka, wyglądając oknem do sadu — już druźbowie jadą, muzyka wali, a ja nie gotowa!

Z pomocą matki prędko sznuruje gorset, wkłada szeroką spódnice, syczy, bo czarne, wysokie buciki cisną ją w palcach.

No tak, Marianna będzie brała ślub w białej sukni z miękkiego, przelewającego się w rękach

187

materiału, ale druhny i druźbowie, starosta i starościna wystąpią po staremu, po chłopsku.

— Prędko, uprzątńijcie stołki — wymachuje rękami Wikta — pan młody już w obejściu!

Marianna stoi nieruchomo na środku izby, poczerwieniała ze wzruszenia twarz brzydka wygląda przy śnieżnej bieli welonu. Obok niej sztywny, nienaturalnie wyprostowany Jasiak. Z komory wychodzi matka już przybrana w paradny czepiec, korale i granatowy kaftan lamowany czerwoną krajką. Za nią ojciec w spencerze z lśniącymi guzikami, w nowych butach z cholewami, przepasany szerokim na dwie dłonie pasem. Ojciec targa siwiejący wąs, przetyka ślinę, grdyka tak śmiesznie chodzi mu pod skórą... widać jest wzruszony. Jakżeby nie, pierwsze wesele w chałupie, najstarsza córka za mąż wychodzi!

Młodzi klękają, matka błogosławi ich świętym obrazem, chce coś powiedzieć, ale płacz ścisza gardło. Ojciec przemaga wzruszenie i mówi głośno, dobitnie:

— Błogosławię cię, córko, i ciebie, zięciu, na tę nową drogę...

Marianna wybucha łkaniem, a za nią Józka, Wikta, druhny. Lament jak na pogrzebie!

Tak trzeba, tak się należy, łzami musi panna młoda pożegnać swoje państwo.

W drodze do kościoła łzy obsychają. Berek z trzema synami rzną od ucha, siwa klacz sprzę-

188

gnięta z pożyczonym od wujka białym wałachem biegnie lekko, jakby nie czując w nogach i grzbiecie ciężaru wozów naładowanych zbożem, sianem, kartoflami i drewnem, które w ciągu swego długiego, pracowitego żywota przewiozła gospodarzom. Dzień jest pogodny, słoneczny, czegoż więcej potrzeba? Przyjdzie czas i na łzy, teraz można się weselić i nie myśleć o smutkach.

Ślub jest skromny, ksiądz uwija się szybko, zaraz musi jechać do umierającego, za to organista gra hucznie na dychawicznych organach. Przecie to wychodzi za mąż siostra Józki, a Józka już drugi rok hołubi organistowe bliźnięta, dzieci za nią przepadają...

Z kościoła wraca się jeszcze szybciej, woźnice podcinają konie, bo u każdego z

weselników w brzuchu pusto, a z Motykowej chaty takie się zapachy rozchodzą, że aż ślinka cieknie.

Chałupa pełna gości, ciasno przy stołach, że palca nie wetknąć, a jeszcze sporo luda przed drzwiami zostało. Oj, będzie z tego moc swarów i obrazy boskiej. Motykowa tłumaczy, przeprasza, izba ciasna, więc obiad na dwie zmiany podadzą, a tymczasem... Stary Motyka z flachą i kieliszkiem obchodzi weselników, przepija do każdego z osobna. Potem jedzą. Rosół z ziemniakami, kiełbasę na gorąco, schab pięknie zrumieniony, makaron, bigos, a na koniec białą kawę, pączki i placki. Motykowa i jej pomocnice już rąk, nóg nie czują, uharowały się kobiety do

siódmego po-

189
tu, samych placków musiały napiec coś ze dwadzieścia i kilka blach. Jest w zwyczaju gościom i rodzinie posyłać weselny placek razem z zaproszeniem na ślub. Teraz starościna i swatka wywołują Mariannę na ubocze.

— Oczepiny! Oczepiny! — klaszcze w ręce Józka.

Stary to zwyczaj i matka słyszeć nie chciała, by od niego odstąpić, choć Marianna, inne śluby w mieście oglądając, nieśmiało protestowała.

— Niech tam miejskie panny po swojemu, po nowomodnemu się wydają — fuknęła matka — tyś gospodarska córka i wesele musisz mieć takie, jak ja miałam i moja matka.

Wprowadzają baby Mariannę do komory, sadzają na odwróconej dnem do góry dzieży, odsłaniają białą płachtę.

Pierwsza Józka parska śmiechem, za nią reszta dziewcząt. Bo też Marianna paradnie wygląda w białej sukni i w rurkowanym czepcu na głowie. Jak jasełkowy przebieraniec!

Teraz kumy biorą ją na jęzory, ganią przywleczone z miasta obyczaje, kiwiają głowami, szepcą.

— Nie lepiej to po staremu się odziewać jak matki i babki? Czy ta biała szmatka lepsza od naszych gorsetów i zapasek?

Matka już nie protestuje, gdy po chwili Marianna zdejmuje czepkę i z gołą głową tańczy z Jaśkiem. Niepotrzebnie się upierała przy oczepinach, tylko na śmiech podała dziewczuchę!

190

Ale młodych to nie martwi. Berkowa kapela przygrywa ostro, więc wywijają, przytupują, aż drzazgi lecą ze starej podłogi. Oberki, sztajerki, poleczki, walczyki, stare melodie przeplatają się z nowymi.

Berek to nie zwykły grajek, jego i do dworu wołają. On umie wszystko zagrać, nawet tango!

To Franek Loska, ten co w mieście na poczcie pracuje, krzywi się na wiejskie wywijasy i żąda

191

głośno, by Berek zagrał coś nowomodnego, na przykład „Pamiętasz Capri” albo „Jesienne róże”...

Franek przyjechał na ślub z panną, choć to tylko córka listonosza, ale szykowna, wieczną ondulację ma i lakierowaną torebkę, i jedwabne pończochy. Wszyscy wytrzeszczają oczy, gdy tych dwoje zaczyna ni to taniec, ni to chodzenie w takt muzyki. Tu i ówdzie słyhać śmiechy, albo to taniec, te jakieś wygibasy, przeginania? Starzy śmieją się całkiem otwarcie, ale młodym przychodzi chętka popróbować. Już jedni i drudzy usiłują naśladować ruchy Franka i jego partnerki,

coraz więcej par kręci się po izbie w takt tanga.

Marianna też chętnie by spróbowała, panna Kocia nieraz grała na fortepianie te dziwne, smętne melodie, u doktorostwa był gramofon i często puszczano muzykę z płyt. Ale Jasiak nie tancerz, nawet w polce takt gubi i depcze po palcach, gdzie mu do tanga...

Już wieczór zachodzi, szarzeje dzień za oknami, matka chyłkiem przemyka się do obory, wesele weselem, a krowy wydoić trzeba i paszy im zadać.

Długo w noc grzmi po wsi muzyka, okna Mo-tykowej chałupy jarzą się światłami, huczne wesele wyprawili starzy najstarszej córce! Jutro, pojutrze będą w głowę zachodzić, na co też te pieniądze się rozeszły, będą obliczać każdą wypitą kwaterkę wódki, każdy zjedzony ogórek czy łyżkę bigosu. Trzeba będzie pasa zacisnąć, wy-

192

kosztowali się przecież, wieprzka zarznąli, a ile kuraków poszło, ile masła i śmietany?

No trudno, raz w życiu dziecko ma wesele, niech wie, że od matki i ojca na swoje poszła jak gospodarska córka, nie jak wyrobnica jakaś czy dziadówka. I matka już z góry przewiduje zazdrosne spojrzenia sąsiadek, gdy zaczną im wyliczać, ile też wesele Marianny kosztowało.

A Marianna nie myśli teraz o kosztach, nie liczy ubytku w gospodarstwie. Wyszła razem z Jaśkiem do sadu, po dusznej, rozgrzanej izbie tak miło pachnie orosiła trawa, wiatr przynosi od pól woń koniczyny, o tej ipredrannej godzinie ptaki zaczynają świergotać, na wschodzie ukazuje się różowy skrawek nieba. Gwiazdy już pobladyły, kończy się weselna noc, wstaje zwyczajny, powszedni dzień. Nagle Marianna poczuła na swej dłoni szorstkie, spracowane palce Jaśka. Zadrżała.

- — Nie bój się, Maryś — szepce mąż — 3a c^ będę lubił i szanował, przecie przysięgałem. Słyszałaś, że przysięgałem?

Marianna kiwa głową, coś jej utknęło w gardle i dławi niczym zbyt szybko przełknięty kartofel.

— A na przyszły rok, jak mi już tato moje zagony odpisze, posiejemy pod lasem pszenicę snuje projekty Jasiak.

— Ale! — protestuje Marianna — tam pod lasem w dołku mokro, wymięknie twoja pszenica.

— Nie wymięknie, wszystko se umyśliłem,

13 — Marianna, Marysia, Misia

dreny założę. Wojtek Pawlas pracuje we fabryce, mówił mi, że za pół ceny można kupić dreny zbrakowane, całkiem niezłe, ino trochę nadszcher-bione. Zobaczysz, jak nam gospodarka pójdzie, tata sadi tylko jonówki i nie przetłumaczysz mu, że amerykany lepsze, sam widziałem u Kolasy, kartofle jak pięści, spod jednego krzaka pół kosza podbierzesz.

— Prawda, Jasiu — przytakuje Marianna i z zachwytem wpatruje się w męża. Głupia, bała się tego zameścia, a teraz widzi, że dobrze zrobiła. Co tam dużo rozmyślać, pracować trzeba, swoje robić, a reszta jakoś się ułoży. Grunt to nieleniwa żona, rządny mąż, zgoda i spokój w domu.

— Pójdź — mówi Jasiak do żony — potańcu-jemy jeszcze, trza użyć wesela.

Babcia już dawno umilkła, patrzy niewidzący-mi oczyma, jakby przez ściany swego domku. Mo-

13*

195

że słyszy jeszcze weselną muzykę, dźwięk skrzypiec starego Berka i dudnienie

basetli?

Misia nie śmie przerywać babcinego zamyślenia, czuje, że stara kobieta jest daleko i nie trzeba jej przemocą sprowadzać do małego domku w Wojnowie.

Dziewczynka po cichutku, na palcach, wychodzi z pokoju. Na dworze jest ciepło, nawet upalnie, ale od zachodu niebo szybko pokrywa się chmurami, drzewa drżą, wstrząsane krótkim, ostrym porywem wiatru. Chyba zbiera się na burzę.

— Żeby tylko w dzień ślubu nie było deszczu. Krystyna zniszczyłaby swój piękny, kremowy kostium — rozmyśla Misia.

Chodziła razem z przyszłą ciotką do przymiarki i z bardzo poważną miną doradziła inny fason. Aż krawcowa się śmiała. W ogóle Krystyna i Misia bardzo się zaprzyjaźniły, wujek nieraz pytał:

— O czym wy wciąż gadacie?

I był zdziwiony, że dorosła kobieta może zaprzyjaźnić się z małą dziewczynką.

— To nasza tajemnica — odpowiedziała wyniośle Misia i mrugnęła porozumiewawczo do Krystyny.

Bo mimo wszystko żywiła takie małe, całkiem malutkie przekonanie, że gdyby nie ona i w porę opowiedziana historia ciotki Agaty — nie byłoby tego ślubu!

ROZDZIAŁ XIII

Wszystko się zmienia oprócz...

— Nareszcie! — mama z rozmachem usiadła na tapczanie i zrzuciła białe eleganckie pantofle — już myślałam, że nie wytrzymam!

Popatrzyła żałośnie na obtarte, zaczerwienione pięty i poprosiła córkę o klapki.

Misia też z ulgą pozbyła się ślicznej, uszytej specjalnie na ślub wujka sukienki.

Sukienka była naprawdę ładna, blad różowa, ozdobiona białymi aplikacjami, ale dziewczynce było w niej niemożliwie gorąco.

— Zgrzałaś się? — spytała mama — te materiały nie są dobre na upał, nie przepuszczają powietrza.

Do pokoju wszedł tata, już po domowemu, bez marynarki i krawata.

— Ależ gorąco! — stęknął i włączył wentylator.

— Wujek i ciocia nie narzekali na upał — wtrąciła Misia — byli zadowoleni, że taki piękny dzień.

197

Oho, tata już zmierza w stronę wersalki, pewno zaraz położy się i zaśnie, mama też przymknęła oczy, zmęczone nogi oparła na wałku, przyciągnęła bliżej kolorową poduszkę.

Okropność! Znowu trzeba będzie cicho siedzieć i być zdaną wyłącznie na własne towarzystwo. A chciałoby się przecież porozmawiać o ślubie, o weselu...

198

— Czym oni tak się zmęczyli? — Misia patrzy krytycznie na rodziców — upałem?

Mnie upał nigdy nie męczy. W poczekalni Pałacu Ślubów było wprawdzie dość duszno, ale na sali panował miły chłodek. A jak pięknie wyglądała Krystyna! Wcale nie była czerwona ani zgrzana. Można by pomyśleć, że weszła na salę wprost spod chłodnego prysznica.

Ale wujek był zdenerwowany, wciąż poprawiał krawat i przyglądał włosy.

Panna młoda nie uroniła ani jednej łzy, przeciwnie, była uśmiechnięta, za to

babcia popłakiwała całkiem otwarcie, a matka Krystyny też dyskretnie ocierała oczy chusteczką. Śmieszne! Przecież wszyscy cieszyli się z tego ślubu.

Po uroczystości pojechali na Sępólno, do rodziców Krystyny, to znaczy cioci

Krysi. Owa sławna „lampka wina”, która tak denerwowała babcię, okazała się

solidnym śniadaniem z pieczonymi kurczętami, barszczykiem, kanapkami, szparagami,

tortami i lodami w dodatku. Wszyscy jeszcze siedzieli przy stole, Misia z obrażoną miną, bo mama zabrała jej sprzed nosa trzecią porcję przepyszego tortu truskawkowego z bitą śmietaną, gdy okazało się, że Krystyna i Tomek znikli.

— Pojechali? — zaniepokoiła się mama.

— Jakże to tak, bez pożegnania? — krzyknęła babcia.

— Ależ nie — uspokoiła wszystkich matka Krystyny — zaraz wróca.

199

Wrócili rzeczywiście, ale jacy odmienieni! Wyglądali prawie jak para kosmonautów w swoich jednakowych, błyszczących wiatrówkach, w motocyklowych hełmach i długich spodniach. Oczywiście, motorem nie można podróżować w kremowych kostiumikach i ciemnoniebieskich, fantastycznych garniturach!

Misia uczepliła się ramienia Krystyny.

— Napiszesz do mnie? Proszę cię, napisz! — nudziła.

— Oczywiście, że napiszę. Przyślę ci dużo ładnych pocztówek.

Potem Misia stała na balkonie i patrzyła, jak Tomek i Krystyna wsiadają na motor, jak wujek zapuszcza silnik, rusza z miejsca. Jeszcze kiwnięcie ręką, jeszcze jakieś okrzyki z góry, z balkonu, których tamci na dole już nie mogą słyszeć, i motocykl ginie za zakrętem ulicy. Pojechali!

Misia wzdycha. Szkoda. Znowu nic się nie będzie działo, znowu nastąpią dni, kubek w kubek podobne do siebie. No, nie, nie przesadzajmy! Przecież są wakacje i za kilka dni Misia pojedzie na kolonie. Tylko czy kolonie to coś takiego nadzwyczajnego? W dodatku, jeśli wychowawczynią jest mama i słyszy się wciąż te same uwagi, co przez cały rok? Już lepiej myśleć o sierpniu, na drugą połowę wakacji wszyscy troje pojedą do Zakopanego. Misia jeszcze nigdy nie była w Zakopanem...

— Rozmieniemy się — myśli z żalem Misia —

200

kiedy wujek Tomek i Krystyna wrócą z urlopu, my pojedziemy w góry. Nie zobaczymy się całe dwa miesiące. Okropnie długo!

Nagle Misia uprzytamnia sobie, że miną miesiące, lata i Krystyna zestarzeje się, posiwieje, zostanie babcią. To śmieszne! Wcale nie można sobie tego wyobrazić. I może będzie jakiejś innej dziewczynce opowiadać o swoim ślubie?

— Czy ja też? — zastanawia się Misia. I czuje, że musi myśleć o tych niemożliwie odległych czasach, po prostu musi!

, ...Jaki kolor państwo wybierają?

Głos płynący z małego, czarnego krążka, umieszczonego nad szeregiem barwnych guzików, brzmi monotonicznie, sucho, jakby wypowiadający poszczególne wyrazy nie rozumiał ich treści:

— Dlaczego? — dziwi się Misia.

— Bo to jest elektroniczny informator delta 17 — odpowiada ktoś, kogo Misia wcale nie zna. — Jaki kolor wybierasz?

— Niebieski — szepce Misia i już coś zaczyna rozumieć. Pewno będą się bawić w „niebo i piekło”.

Okazuje się, że nie, że wcale nie chodzi o głupie, dziecinne zabawy.

Ktoś bardzo wysoki naciska niebieski guzik i ściany, drzwi zaczynają przybierać niebieski odcień, pogodnego, lipcowego nieba.

201

— Ojej! — Misia drgnęła ze strachu, gdy błękitna ściana rozsunała się bezszelestnie, ukazując długi korytarz, wysłany błękitnym dywanem. Jak się to stało? Przecież nikt nie dotknął drzwi.

— Nie widziałaś nigdy fotokomórki? — dziwi się nieznajomy.

Misia kręci przecząco głową i boi się spytać, co to takiego.

— Uważaj — głos brzmi odrobinę niecierpliwie, a dłoń lekko popycha dziewczynkę w stronę błękitnego chodnika.

Misia robi duży krok i już jedzie, nie, chyba płynie! Wcale nie musi przebierać nogami, zupełnie tak, jakby stała na ruchomych schodach, ale to coś, co płynie, wcale nie przypomina ruchomych schodów.

Na końcu korytarza zapalają się i gasną czerwone światełka, słychać monotony, suchy głos.

— Para numer XZO 79649 — proszę czekać. Chodnik zatrzymuje się, a razem z nim Misia

i ten ktoś nieznajomy, kto stoi obok. Teraz chyba można obejrzeć dziwnego towarzysza...

Jest bardzo, bardzo wysoki, ma małą głowę i szczupłe ręce. Oczy, nos, usta zwyczajne. Ale nie wygląda zwyczajnie, wprost przeciwnie. Misia jeszcze nigdy w życiu nie widziała kogoś tak niezwykłego! Przede wszystkim ubranie. Ma na sobie coś, co można by nazwać kombinezonem. To coś mieni się i błyszczy jak balowa suknia cici Heleny...

202

Nieznajomy podchwytuje zdumiony wzrok dziewczynki i mówi:

— To strój z serii KZ, sporządzony z kosmo-elany, pozwala na przebywanie w każdej atmosferze.

Unosi stopę i pokazuje Misi dziwne buciki, naprawdę bardzo dziwne. Mają grube podeszwy, są sznurowane wysoko aż pod kolano i całe oplecione jakby przewodem elektrycznym.

— To automatyczne obuwie, sterowane elektronicznie. Zastępuje miejską komunikację, przestarzałe taksówki, tramwaje i autobusy. Podobno kiedyś używano takich śmiesznych sposobów przenoszenia się z miejsca na miejsce, uczyłem się o tym, ale trudno mi uwierzyć, że ludzie tłoczyli się w blaszanych pudłach poruszających się z żółwią szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę! Misia już nic nie rozumie. Co on plecie, ten dziwny stwór? Przecież dziś po południu jechała taksówką z rodzicami, więc dlaczego on mówi „kiedyś”?

— Co to znaczy „kiedyś”? — pyta.

— Jakies dwieście lat temu.

Idiota! — wścieka się Misia. — Za kogo on mnie uważa?! Wprawdzie skończyłam dopiero cztery klasy, ale dobrze wiem, że dwieście lat temu jeżdżono końmi albo chodzono piechotą i nikomu się nie śniło o tramwajach i autobusach. A może... zaraz, zaraz... to chyba niemożliwe!

203

— Jaki dziś dzień, bo zapomniałam? — pyta pozornie swobodnie Misia, a cała aż drży z napięcia.

— Ładna historia! — śmieje się nieznajomy — nie pamiętasz daty swojego ślubu? Misia o mało nie przewraca się z wrażenia. O czym on mówi, ten chudy kij od miotły w srebrzystym kombinezonie? Ślub? Jaki ślub?! Przecież dopiero co wróciła ze ślubu Krystyny i wujka Tomka!

— Ale jaki dziś dzień? — powtarza słabym głosem.

— Trzydziesty czerwca, niedziela.

— To by się zgadzało — myśli Misia, a głośno pyta: — a rok?

Kij od miotły jest zaniepokojony.

— Czy naprawdę dobrze się czujesz? Nic cię nie boli?

— Rok! W tej chwili mów, który rok mamy?! — wrzeszczy Misia.

— Rok dwa tysiące sto siedemdziesiąty czwarty-

Misia otwiera szeroko oczy i usta, jest pewna, że się przesłyszała.

To przecież nie może być prawda!

Nagle... Czerwone światełko zaczyna pulsować, chodnik drga pod stopami, znów płynie lekko, bezszelestnie, a razem z nim Misia trzymana mocno pod ramię przez nieznanego chudzielca.

— Nie chcę! — usiłuje krzyknąć Misia — nie

204

chcę żadnego ślubu! Ja przecież jeszcze nie skończyłam szkoły! — ale nie może wydobyć głosu, a zresztą jest już za późno.

Drzwi otwierają się i zamykają miękko, bez najmniejszego skrzypnięcia.

Pokój jest ogromny, cały niebieski, nawet ozdobne rośliny wyrastające, co za dziwy! wprost z podłogi, mają odcień szafirowy. W pokoju nie ma nikogo.

— Po co tu jesteśmy? — szepce Misia i czuje, że drżą jej kolana.

— Nie denerwuj się — mówi łagodnie chudzielec — to tylko rejestracja.

Dobrze powiedzieć „nie denerwuj się”, gdy Misia czuje jakieś muśnięcia, dotknięcia, choć przecież nikogo nie ma w pokoju i nikt się do niej nie zbliżył.

Promienie niebieskiego światła otaczają ją zewsząd, dziewczynce wydaje się, że przenikają ją na wylot. Guziki umieszczone na jednej ze ścian zaczynają pulsować i znów rozlega się suchy, bezbarwny głos:

— Typ AB +, test Q dodatni, stan 0 — ekstra, wymiary — 182, 60, 82, 81, 23,5...

— Co to znaczy? Co to za cyfry? — pyta Misia swego towarzysza. Mimo całej odmienności jest w jakiś sposób bliski, potrzebny. A zresztą, poza nim nie ma tu przecież nikogo.

— To wstępna formalność, zostałaś w tej chwili dokładnie zbadana, zmierzona, zważona, określono twój stan zdrowia, stopień inteligencji, przy-

205

datność do zawodu. Za chwilę otrzymasz trzy dokumenty, o takie — chudzielec wyjmując z górnej kieszeni kombinezonu trzy blaszki, pokryte napisami i cyframi — jeden będziesz okazywać przy podjęciu pracy, drugi w razie choroby, a trzeci w magazynach uniwersalnych. Bez kłopotu, znając twoje wymiary i upodobania, dostarczą ci odpowiedni strój, obuwie, lekturę, rozrywki. Zaraz tam pójdziemy, tylko Korner III ukończy twój test. Oo, już gotowy.

Misia patrzy z przerażeniem na trzy blaszki, które nie wiadomo w jaki sposób znalazły się w jej dłoni. Kto je tam włożył!? Są ciężkie i błyszczące, trochę przypominają dziesięciozłotówki.

— Chodź — mówi chudzielec.

Znów jadą chodnikiem, znów jakieś drzwi rozsuwają się przed nimi.

Tym razem pokój nie jest pusty, znajdują się w nim dwie osoby, sądząc po długich, spadających na ramiona włosach — chyba kobiety.

Ale Misia wie z doświadczenia, że to nie jest wystarczająca wskazówka. Zerka na towarzysza, przedtem nie zauważyła, że jest bardzo krótko ostrzyżony. Widać moda się zmieniła...

Chudzielec każe Misi pokazać jeden z błyszczących krążków i znika. Dziewczynka jest przerażona, ale nie ma czasu na strach. Wprowadzają ją do małej kabiny, słyszy dziwny syk i czuje, że całe jej ciało pokrywa coś bardzo miękkiego, delikatnego, coś, co równocześnie jest ciepłe i chłod-

206

ne, lekkie i mocne. Rozbłyska silne światło i Misia widzi naprzeciwko bardzo

wysoką i bardzo szczupłą dziewczynę, ubraną w niebieski, błyszczący kombinezon. Dziewczyna ma długie, jasne włosy, a w rękę trzyma bukiet niebieskich róż. Misia otwiera usta i tamta też, Misia wyciąga rękę i dziewczyna robi to samo. Ależ... Chociaż to wydaje się zupełnie nieprawdopodobne, Misia już wie, że patrzy w lustro, że dziewczyna z różami — to ona!

Ach, jakie te róże są cudowne, nigdy jeszcze takich nie widziała. Wsuwa noskę między płatki, wącha. Dziwne! Niby pachną, a przecież jakoś inaczej niż zwykłe róże. Niby są delikatne, ale Misia nie jest w stanie oderwać ani jednego płatka. I nie widać kolców na łodygach... A więc są sztuczne.

Misia tak się zamyśliła, że wcale nie spostrzegła powrotu chudzielca. Dopiero gdy powiedział z podziwem:

— Prześlicznie wyglądasz! — uniosła głowę i spojrzała.

On też zmienił strój, jego kombinezon jest błękitny, a obuwie ma szafirowe podeszwy. Na ramieniu kwitną mu trzy niebieskie róże.

— Chodź — mówi.

Zjechali chodnikiem w dół i po chwili znaleźli się w dużej sali. Tu też wszystko było niebieskie i Misia pomyślała, że to staje się nudne. Wszędzie stały ogromne wazon-y z kwiatami. Lilie, mieczy-

208

ki, róże, hortensje, gerbery — miały wszystkie odcienie błękitu. Misia skrzywiła się.

— Dlaczego one wszystkie są jednakowe? — spytała — nigdy w życiu nie widziałam takich kwiatów! Kwiaty są różne, białe, czerwone, żółte.

— Przecież wybrałaś kolor niebieski — przypomniał jej towarzysz — teraz już wszystko, co cię otacza, będzie błękitne.

Misia chciała zaprotestować, ale nie zdążyła. Rozbłysło silne niebieskie światło, rozległa się cicha muzyka, płynąca nie wiadomo skąd, i nagle na okrągłej tarczy oświetlonej złotym promieniem ukazały się dwa błyszczące krążki.

— Weź ten prawy — szepnął chudzielec — i podaj mi go, a ja tobie podam lewy.

Misia uczyniła to, patrząc jak zahipnotyzowana w złote światło.

I nagle usłyszała głos:

— Trzydziestego czerwca roku 2174 Ziemianin West GB III i Ziemianka Osta PL I zawarli związek rodzinny. Życzenia wszelkiej pomyślności.

Światło zgasło, głos umilkł, ucichła muzyka i chudzielec powiedział:

— Chodź, Osto, jedziemy do domu.

Wyszli na duży plac, na którym stały szeregiem zabawne pojazdy, ni to wyścigowe samochody, ni to małe rakiety, wsiadając do jednego z nich, Misia odwróciła głowę i stwierdziła, że

14 — Marianna, Marysia, Misia

błękitny budynek zniknął. Po prostu go nie było! I nagle jacyś ludzie zatrzymali się pośrodku placu, wysoka postać uniosła rękę i Misia zobaczyła, jak niewidoczne dotąd ściany, dach, okna i drzwi wypełniają się seledynowym kolorem... Potem już nic nie widziała, bo West nacisnął dźwignię i pomknęli przed siebie.

Mimo zmęczenia i oszołomienia Misia zauważyła pewną niekonsekwencję w postępowaniu Westa.

— A mówiłaś, że wystarczą buty, żeby przenosić się z miejsca na miejsce — powiedziała zaczepnie. Ach, jakby chciała, żeby ten pewny siebie, idealnie spokojny chudzielec zmieszał się, zaczął kręcić... Byłby jakiś bliższy, podobniejszy do człowieka.

— Oczywiście — odparł West — ale miałem na myśli komunikację miejską. My mamy do pokonania odległość wynoszącą przeszło półtora tysiąca kilometrów.

— Ale ja jestem głodna! — krzyknęła Misia — •zatrzymaj się, musimy coś zjeść! Nie wytrzymam tylu godzin!

— O czym ty mówisz? — zdumiał się West — dokładnie za trzydzieści siedem minut będziemy na miejscu.

Co on plecie? Czy nie będzie końca niespodziankom?

West miał rację. Dokładnie po upływie przewidzianego czasu pojazd zatrzymał się przed

210

dziwnym kulistym budynkiem, pozbawionym okien i drzwi.

— Wejść, Osto — powiedział West — to jest od dziś twój dom.

Był wzruszony. Wziął żonę na ręce i niósł ją przez miękkie, błękitny trawnik.

Ściany rozsunęły się bezszelestnie...

— Podoba ci się tutaj, kochanie?

Misia odruchowo skinęła głową i pomyślała, że ten dziwny chudzielec, noszący dziwne imię „West”, zaczyna zachowywać się całkiem po ludzku. Mówi do niej całkiem tak samo jak wujek Tomek do Krystyny. Ooo, na przykład teraz... cieszy się, biega z jednego pomieszczenia do drugiego, wciąż jej coś pokazuje, tłumaczy.

— Tu jest kuchnia, prawda, jaka wspaniała? Najnowszy model! Nie otrzymałbym jej, gdybym nie pracował w Zakładach XX. Czekać, zaprogramujemy kolację... co lubisz najbardziej?

— Lody — odpowiada bezmyślnie Misia.

— Świetnie, lody będą na deser, ale przedtem trzeba zjeść coś solidniejszego.

Myślę, że porządny befsztyk będzie ci smakował. Do tego czerwone wino. Ja zjem jeszcze sałatkę z krewetek. Tak. A teraz lody. Mamy do wyboru szesnaście gatunków, jakie chcesz?

— Ja... ja nie wiem — odpowiada Misia i ma ochotę wybuchnąć płaczem.

— Głuptasku — mówi z czułością West — jesteś zmęczona i zdenerwowana. Wobec tego sam

14*

211

wybiore... Myślę, że ananasowe, cytrynowe i mo-relove to będzie smaczna kombinacja.

Misia chodzi po swoim nowym domu i nie może się nadziwić. W kuchni stoi komputer, wystarczy nacisnąć odpowiednie guziki, by na czas dostarczono odpowiednie produkty. Po zaprogramowaniu robot przygotowuje potrawy, a automatyczna kuchnia ugotuje je, upiecze, usmaży... Pokoje sprzątają się same, wystarczy uruchomić odpowiednie urządzenie. Rano tajemniczy aparat uruchomi budzik, włączy radio, poinformuje, jaka jest pogoda i temperatura na dworze, inny przygotowuje kąpiel i poda śniadanie.

Misia jest zachwycona, co za życie! Żadnych zakupów, żadnego wystawiania w kolejkach, biegania od sklepu do sklepu. Nie trzeba pracować ani prasować, po prostu co pewien czas otrzymuje się nowy kombinezon. I nie leżą oczka w pończochach, bo nikt nie nosi pończoch... Ach, gdyby mama mogła to wszystko zobaczyć! A babcia? Babcia nie uwierzyłaby, że coś takiego w ogóle jest możliwe! Babcia, która nosiła wodę ze studni, prała bieliznę w potoku i doiła krowy...

Nagle Misi robi się bardzo smutno. Przecież już rok 2174, babcia dawno nie żyje i mama, i tatuś... już ich nigdy nie zobaczy!

Ociera szybko oczy, nie chce, żeby West zobaczył jej łzy, byłoby mu przykro. Ale

West i tak widzi. Podchodzi, kładzie Misi rękę na ramieniu i mówi:
212

— Nie płacz, kochanie, ja cię zawsze będę lubił i szanował.

Te zwyczajne słowa mają jakiś magiczny wpływ, Misia uspokaja się, patrzy na Westa z uśmiechem. Bo teraz już wie, że na świecie wszystko się zmienia oprócz...

— Misiuniu! Obudź się! No patrzcie, zasnęła jak kamień! — mama trzęsie córką, usiłuje postawić ją na nogi — wstań, dziecinko, przyszła babcia.

— Babcia? Ach jak dobrze, jak wspaniale!

— Ano przyszłam, bo jakoś mi nijako wracać do pustego domu. Pomogłam matce Krystyny w sprzątanii i w zmywaniu i pomyślałam, że wstąpię-jdp wps...

— Bardzo "dobrze mama zrobiła — mówi tata.

— Ach, babciu! — Misia jest tak podniecona, że nie może ustać w miejscu, podskakuje i kręci się w kółko jak bąk — ach, babciu, jaki ja miałam sen! Coś nadzwyczajnego!

— Byle nie śniło ci się małe dziecko albo świeże mięso, bo to oznacza chorobę — mówi poważnie babcia.

— Śnił mi się ślub, mój własny ślub, ale to było w roku 2174, rozumiesz?
Dwieście lat naprzód.

I Misia zaczyna z zapałem opowiadać o budynku zmieniającym kolor według życzenia, o dziw-

213

nych strojach, o niezwykłym domu, w którym wszystko robiły automaty, o całym tym niezrozumiałym, obcym świecie, w którym się znalazła. Na koniec mówi:

— I wiesz, babciu, kiedy West powiedział, że zawsze mnie będzie lubił i szanował, poczułam, że dzieje się ze mną coś dziwnego, że już się niczego nie boję, że przyzwyczaję się do wszystkiego, że też go bardzo lubię i że...

Dlaczego tak się stało, babciu?

Babcia zamyśla się, potem gładzi wnuczkę po włosach.

— Bo widzisz, na świecie wszystko się zmienia oprócz ludzkich serc, Misiuniu.

I Misia czuje, że babcia powiedziała prawdę.

SPIS ROZDZIAŁÓW

ROZDZIAŁ I

Dziwadło

ROZDZIAŁ II

Nudy na pudy,
czyli historia pewnej niedzieli

ROZDZIAŁ III

Pierwsza podróż z babcią

ROZDZIAŁ IV

Wujek Tomek nie ożeni się nigdy

ROZDZIAŁ V

Panna Krystyna

ROZDZIAŁ VI

Druga podróż z babcią

ROZDZIAŁ VII

Nocna zjawą

ROZDZIAŁ VIII

Z mamą to zupełnie inna sprawa

ROZDZIAŁ IX

Nie tylko babcia...

ROZDZIAŁ X

Czyja to zasługa?

ROZDZIAŁ XI

Równe uprawnienie

ROZDZIAŁ XII

Trzecia podróż z babcią

ROZDZIAŁ XIII

Wszystko się zmienia oprócz...

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”. Warszawa 1976. Wydanie pierwsze. Nakład 30 000+277 egz. Ark. wyd. 7,5. Ark. druk. A-1 10,94. Papier druk. sat. ki. V, 70 g, 82X104/32. Oddano do składania 22 grudnia 1975 r. Podpisano do druku w marcu 1976 r. Łódzkie Zakłady Graficzne — Zakład nr 1, Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. 45. J-123. Zam. 81/A/76.

\
/